MARJAN MALINOWSKI.

(Wojtek).

„Z KRWAWYCH DNI"

• LUBLIN,
Druk. Lub. Sp. Wyd.—Kołłątaja 5.
1919.

WSTĘP.

Czytelnicy! Muszę zaznaczyć, że obecną moją pracę pod tytułem: „Z krwawych dni" poświęcam przedewszystkiem wspomnieniom tych wszystkich towarzyszy i towarzyszek, niezmordowanych bojowników o Niepodległość, Sprawę Robotniczą i Socjalizm w Polsce, którzy w przeciągu szeregu lat ginęli w ciężkiej walce, a których imiona i czyny stopniowo idą w zapomnienie.

Pisząc wspomnienia, zawarte w tym wydawnictwie, pragnieniem moim było, choć w setnej części pamięć wymienionych tu Towarzyszy utrwalić, jako nagrodę za poniesione przez nich dla idei cierpienia i trud. A dalej pragnę, aby masy pracujące, Ci wszyscy, którzy te wspomnienia czytać będą, zastanowili się, jak wielkich ofiar, cierpień i krwi, jak wielkiej odwagi i zaparcia swego ja, oraz potężnego ukochania idei byli Ci towarzysze, których większość już nie żyje—ginąc na szubiennicy, w więzieniu bądź na obczyźnie.

To co dziś mamy, to, że obecnie jesteśmy w przededniu urzeczywistnienia się socjalizmu, że już dziś widzimy urzeczywistniające się stopniowo reformy społeczne potrzebne ludowi, a które to reformy za onych czasów w programach drukowane, dla wielu ludzi słabego ducha i nikłej wiary były tylko marzeniami lub urojeniami. Wiele bardzo zawdzięczamy tym, co zginęli, bo wszak oni torowali nam cierniową drogę do dzisiejszych zwycięstw.

To też pragnąłbym, aby czytelnicy rozważając podaną w tej książce garść faktów, zastanawiając się nad przeszłością szanowali wszystkie do dziś przez lud zdobyte placówki jako niezwalczone pozycje nowych walk i zwycięstw. Albowiem wszystko to, co posiadamy i posiądziemy przepojone jest krwią i łzami towarzyszy bojowników.

Pragnę, aby znaleźli się w jaknajwiększej liczbie ofiarni naśladowcy, którzy dziś już może innemi metodami i w innych formach, ale wytrwale i z energją tak, jak Tamci pójdą na czele ludu pracującego w wielkim dziejowym pochodzie, aż do zupełnego zwycięstwa socjalizmu i wielkiego braterstwa ludów świata.

AUTOR.

Noc z 24 na 25 grudnia 1904 r. w Radomiu.

Dnia 17-go grudnia 1904 r., rannym pociągiem, przyjechał do mnie z Warszawy tow. Jędrzejewski (Karol albo Ryszard) i oświadczył zaraz na wstępie, że nadzwyczaj ważne przywiózł rozporządzenia, które może zakomunikować tylko na ogólnym zebraniu Radomskiego Robotniczego Komitetu P. P. S.; polecił mi więc, abym natychmiast zawiadomił wszystkich członków komitetu na godzinę 7-mą wieczór w mieszkaniu tow. Wojciechowskiego (Kopacza), który zajmował niewielki pokoik na facjatce w tym samym domu, w którym i ja mieszkałem. Ma się rozumieć, w tej chwili rzuciłem swoje własne zajęcie i pospieszyłem polecenie „Karola" wypełnić.

Punkt 7-ma wieczór zebrani byli już na miejscu. Było nas wraz z „Karolem" ośmiu, a mianowicie: tow. Wojciechowski (Kopacz), tow. Domański (Czerwień), tow. Karsz (Bolesław), tow. Pokrzewiński (Siko-ra), tow. Salata (Biały), tow. Malinowski (Bonifacy), „Karol" i ja.

Na wstępie zawiadomił nas „Karol", że jest rozporządzenie C. K. R., aby wszędzie przeciwko rządowj—biurokracji rosyjskiej rozpocząć jak najenergiczniejszą akcję. Chodziło bowiem o wywołanie akcją naszą bezładu w maszynie biurokratycznej, demoralizowanie armji tu już, na miejscu.

Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że jeżeli carat, ten olbrzymi kolos, zostanie pobity przez Japończyków, to rewolucja rosyjska będzie mogła wraz z nami do reszty go pokonać. Byłoby się napewno tak stało, gdyby rewolucja rosyjska była lepiej zorganizowana w ludziach i więcej planowana w czynie. Również chodzi nam o to—mówił tow. Karol—aby tu, na miejscu, różnego rodzaju wystąpieniami zaprotestować przeciw przygotowującej się mobilizacji, a gdyby się nawet dało, nie dopuścić miejscami do niej. Polecono z C. K. R. nie cofać

się przed żadnemi ofiarami; ma się rozumieć, dbać przedewszystkim, aby jaknajwięcej szkody caratowi przynieść, jaknajmniej samym tracąc. Karol, zawiadomiwszy nas o rozkazie C. K. R., zażądał, abyśmy się wypowiedzieli w tej sprawie i jednocześnie podali projekty i wnioski, dodając, że akcja taka będzie prowadzona w całym Królestwie prawie jednocześnie. Rozpoczęło się więc podawanie projektów i dyskusja nad nimi. Nie będę tu podawał szczegółów samych obrad, powiem tylko, że większoćć towarzyszy nie bardzo wierzyła w możność przeprowadzenia jakiejś silniejszej akcji bez narażenia na straty, grożące rozbiciem organizacji miejscowej, która dopiero od niedawna zaczęła sprawnie funkcjonować. Byliśmy więc w nielada kłopocie, bo z jednej strony polecenie C. K. R. musiało być wypełnione, a z drugiej strony obawialiśmy się rozbicia roboty, no i nie było broni, którąby się można było w razie czego bronić. Cały nasz arsenał stanowiło 18 funtów dynamitu i lontu w dostatecznej ilości, oraz kapiszonami, a tu Karol twierdzi, że musi być koniecznie zorganizowana demonstracja uliczna. Z godzinę toczyła się dyskusja nad projektami, w której największym opozycjonistą był tow. Bonifacy. Nie dlatego, ażeby chciał przeciwdziałać akcji jakiejkolwiek, bo dla każdego z nas rozkaz C. K. R. był rzeczą z góry przesądzoną, ale dlatego, że tow. B. lubił, aby to, co się robi, było zrobione solidnie, nie bardzo zaś ufał w odwagę jawnego wystąpienia na ulicy członków organizacji radomskiej. Mnie również szło o to, aby akcja nasza była zarazem potężną, nagłą i nieuchwytną. Chciałem, aby już jeżeli mamy uderzyć, to jak piorun z jasnego nieba, a później zniknąć, nie wprowadzając na swój ślad ani żandarmerji, ani szpicli, których wszędzie było pełno w one czasy.

Każdy z obecnych, a i członkowie całej naszej organizacji, byli bezwzględnymi wrogami caratu i jego wszystkich sług. Takimi nas wychowały: ciągłe represje rządu, chęć odwetu, zapłata za pomordowanych i więzionych towarzyszy, a wreszcie konieczność zdobycia Niepodległości, co mogło tylko nastąpić z upadkiem caratu.

Patrząc z punktu widzenia interesów mas pracujących, wierzyliśmy, że lud polski i robotnik polski tylko wtedy zdobędzie w Polsce prawa, kiedy będziemy niepodległymi, a to nastąpi wtedy, kiedy carat runie. To też zaciekłość i nienawiść do każdego spotkanego munduru rządowego była niezgłębiona. I dlatego rozkaz, przywieziony przez Karola, zrobił nam pomimo kłopotu najwyższą rozkosz, że nareszcie zaczniemy płacić wrogom, choć nie chcieliśmy dopuścić do większych ofiar z naszej strony, rozumiejąc, iż cały ten aparat rządowy jest taką padliną, że tysiąc ich zabitych nie wystarczy za jednego naszego towarzysza. Ale wracajmy do rzeczy. Zabrałem głos ostatni i przedstawiłem swój projekt.

Przedewszystkim proponowałem wydanie odezwy do robotników i chłopów, aby dobrowolnie nie stawiali się, z chwilą ogłoszenia mobilizacji, na zborne punkty, motywując to tym że, idąc do wojska, nie idziemy ani bronić Ojczyzny, ani naszych interesów, a natomiast pomagamy naszemu katu do zwycięstwa, a więc i do gnębienia nas w dalszym ciągu.

Dalej proponowałem po wsiach rozpocząć ustną agitację za tym, aby chłopi sami nie zgłaszali się, nawet otrzymawszy zawiadomienie, żeby w razie, gdyby po nich przyszli strażnicy lub wojsko, nie stawiali oporu czynnego, ponieważ wtedy był u nas ogłoszony jawnie stan wojenny, a tajnie stan oblężenia; bo, stawiając opor czynny, mogli być poddani sądowi polowemu, a więc rozstrzelani; natomiast proponowałem zaagitować kobiety po wsiach, aby, jak przyjdą zabierać mężczyzn czyniły z dziećmi jaknajwiększy gwałt, nie cofając się przed użyciem miotły, wideł, czy gorącej wody. Następnie podałem projekt przeszkadzania komisji poborowej w jej czynnościach, rozlewając w sali i pokojach, gdzie obradowali śmierdzący płyn, którego zapas spory mieliśmy w szklanych rurkach. Pozatym, radziłem, aby cały szereg towarzyszy ciągle był na ulicy, zachęcając i agitując idących na miejsce poboru wojskowego do powrotu na wieś, a gdyby to nie pomogło, gdyby ludzi wzięli i chcieli wywieźć — wysadzić mosty kolejowe, przerwać choć na jakiś czas komunikacje pociągów; a następnie demonstrację na ulicy po południu, lub gdyby się to nie udało w dzień, urządzić takową w nocy — po pasterce — t. j. nabożeństwie, które zwykle odprawia się z 24-go na 25-ty grudnia w nocy. Projekt mój niezupełnie się spodobał towarzyszom w całości, twierdzili bowiem, że niewszystko może się dać przeprowadzić. Poparł mię Karol, który w gorącym przemówieniu wykazał konieczność walki z najazdem moskiewskim.

Ostatecznie towarzysze zdecydowali się na mój plan, oddając mi, jako członkowi Okręgowego Radomskiego Komitetu, a więc wyżej stojącego w hierarchji partyjnej od Radomskiego, zarządzenie całej akcji, upoważniając do zaprowadzenia tych czy innych zmian w projekcie, stosownie do warunków i okoliczności. Wtedy towarzysz Bonifacy znów zabrał głos, zapytując się: czymże się, u licha, będziemy w razie ataku wojska bronili? Na to towarzysz Karol z tajemniczą miną odpowiedział: „Broń jest". Oczyma zebrani pytają: gdzie? „Tu, w mojej walizeczce. Co C. K. R. mógł, to wam, towarzysze, przysyła, tylko starajcie się godnie, z korzyścią ruchu rewolucyjnego, tej broni użyć".

Otworzył walizeczkę i wyjął z niej 9 sztuk ładnych, niedużych, czarnych welodogów oraz kilkanaście paczek długich, w miedzianych koszulkach, ładunków. Rozłożył to wszystko na stole, mówiąc: „Oszczędzajcie i szanujcie tę broń, bowiem tą bronią towarzysze nasi walczyli już na placu Grzybowskim". Widziałem, jak zebranym oczy błysnęły, czuć było, że jakaś siła w nich wstępuje. Towarzysz Bonifacy odrazu przestał być pesymistycznie usposobiony, tow. Sikora, zawsze flegmatyk, żywiej się ruszył na widok broni, a tow. Biały odrazu zaproponował, aby w tej chwili jedną sztukę mu dano, twierdząc, że już możnaby szpicli kłaść.

Przyczyną właściwie ożywienia było to przeświadczenie, że choć to jest słaba broń w stosunku do naszych gnębicieli, ale jednak już niejednego z nich możnaby uspokoić nazawsze; jest już przynajmniej czymśkolwiek się bronić. Broń polecono mi tymczasem schować i w stosownej chwili uzbroić nasz bojowy oddziałek, składający się z jedenastu ludzi, dotychczas uzbrojonych w jeden rewolwer i dwa sztylety.

W one czasy w partji bojówki nie było i tylko w Radomiu życie nas zmusiło do samoobrony przed szpiclami; w tym celu założony został ów oddziałek. Na czele tego oddziałku stał jeden z członków Komitetu—tow. Biały. Posiedzenie zostało skończone. Wymykając się po jednemu, cicho stąpając po schodach, członkowie komitetu rozeszli się. Na dobranoc umówiłem się z Kopaczem, że raniutko przyjdę bić odezwę, której tekst mieliśmy jeszcze tej nocy opracować wspólnie z Karalem.

Kawał w noc zeszło nam z oną odezwą później musiał mi jeszcze Karol opowiedzieć, co słychać w C. K. R., jakie są najbliższe projekty, co słychać wśród organizacji rewolucyjnych w Rosji, a później gwarzyliśmy na temat owych dni, kiedy to pozbędziemy się „fijołów", najazdu i kiedy będzie można już nareszcie legalnie budować tę Demokratyczną Polskę—organizować całe życie ludu roboczego. Nad ranem Karol, uściskawszy się ze mną, pojechał dalej nieść zarzewie walki i buntu.

Następnego dnia we trzech pracowaliśmy nad odbiciem odezwy. Była to robota nadzwyczaj mozolna i nudna. Odbijało się czcionkami gumowemi, układając wyrazy w rowkach blaszanej płytki. Po odbiciu każdych kilku wierszy trzeba było czcionki rozbierać i nanowo je składać, ponieważ czcionek było za mało, a płytka blaszana mieściła w sobie zaledwie kilka wierszy. Energję w nas podtrzymywała myśl, jak wielką będzie wściekłość wśród „fijołów" z chwilą ukazania się odezwy. Pracowaliśmy przy „gnieceniu" na zmianę we trzech: ja, Kopacz i tow. Mauer, zecer z zawodu, który zatrzymał się na kilka dni u Kopacza, będąc w przejeździe z Krakowa do tajnej drukarni „Robotnika", gdzie miał pracować. Nareszcie późnym wieczorem było gotowe 2000 sztuk. Umywszy ręce, aby śladów tuszu na palcach nie zostało, wyszykowałem paczki odezw; pochowawszy je wkoło siebie, jak i gdzie było można, ruszyłem do miasta, aby je doręczyć tym towarzyszom, którzy do dnia musieli wyruszyć na wieś, w celach nietylko agitacyjnych, ale i dla przeciwdziałania N.Decji.

Narodowa Demokracja rozrzuciła po wsiach niezliczoną ilość własnych odezw. W odezwach tych wymyślano w najgorszy sposób na nas, socjalistów, „burzycieli porządku społecznego". „żydowskich wojtków" i t. d.; wprost podjudzano przeciwko nam, popierając niejako rząd carski, a więc katów naszego narodu.

Na czele owego N.Deckiego ruchu stał wtedy p. Wigura, pomocnik adwokata przysięgłego człowiek, nie przebierający w środkach. Trzeba więc było gwałtownie przeciwdziałać.

Zmobilizowałem wszystkie siły organizacyjne w Radomiu i w okolicy, rozpocząłem akcję agitacyjną. Ale cóż, rezultaty były niebardzo wielkie, bo N.Decja, mając pieniądze, a po dworach konie do dyspozycji, z jednej strony, zaś kler na

usługach z drugiej, większość naszej pracy udaremniała. Tymczasem ogłoszono mobilizację na 22, 23 i 24 grudnia. Chłopi zaczęli gromadkami ściągać do miasta. Widać było w zachowaniu się ich pewne wahanie, widocznie odezwy nasze dotarły do wiosek. Poleciłem więc wszystkim członkom komitetów fachowych być od rana do wieczora na ulicy i agitować włościan za powrotem do domu. Była to nadzwyczaj ciężka praca, bowiem ulicami przechodziły gęste patrole piechoty, żandami po cywilnemu przebrani i szpicle snuli się; jak cienie, po ulicy, a tu nieraz trzeba było chłopa za rękaw nieomal ciągnąć z powrotem za miasto. Wielu towarzyszy bez śniadania, bez obiadu pracowało nie krępując się. W razie poważnego niebezpieczeństwa aresztowania, znikali natychmiast w jednym miejscu, aby za chwilę zjawić się gdzieindziej...

Dzielnie nam również pomagali towarzysze chłopi, a najwięcej pewien towarzysz, tracz z zawodu, z pod Jedlni. Chłop, jak dąb, wysoki, ognisty mówca, zbierał całe gromady chłopów wkoło siebie, tuż na oczach policji; jednak policja bała się go ruszyć, bo był przez chłopów ogromne lubiany i za zbliżeniem się jakiegoś strażnika, lub podejrzanego osobnika, chłopi szykowali kije i pomrukiwali groźnie! Również posłałem trzech towarzyszy z rurkami szklanemi, zawierającemi nadzwyczaj śmierdzący płyn, do koszar wojskowych. Dostali polecenie za wszelką cenę wejść do wnętrza i w sali, gdzie główna komisja wojskowa, przyjmująca poborowych, siedziała, rurki z płynem rzucić pod nogi ludzi, tłumnie zapełniających salę. Rezultat niedługo kazał na siebie czekać, cała bowiem komisja uciekła do sieni, a później na dwór, choć dzień był mglisty, powietrze przejmujące. Jednak było im wygodniej, gdyż smród wewnątrz był nie do opisania i żadnemi środkami nie dał się na razie usunąć; musieli dopiero zawezwać stolarzy, aby podłogę sheblować. Przy takiej pracy [spędzaliśmy dni aż do 23-go grudnia.

W dniu tym dowiedziałem się, że kilkuset zmobilizowanych mają wysłać 24-go o 7-ej wieczór pociągiem do Siedlec, do obozu koncentracyjnego. Zawiadomiłem o tym członków komitetu i jednocześnie przedstawiłem im projekt wysadzenia mostów kolejowych, spalenia powiatu i projekt w szczegółach demonstracji nocnej. Towarzysze prawie bez dyskusji zgodzili się, bo wściekłość coraz większa na carat ogarniała nawet najbardziej flegmatycznych.

23-go, wieczorem, naznaczyłem zebranie odziałku bojowego, który składał się przeważnie z młodych, w karności spiskowej wyćwiczonych, towarzyszy. Każdy z nich przeszedł cykl wykładów społecznych i politycznych; byli to więc ludzie zupełnie świadomi celów, zadań i taktyki partji. Wszyscy oni wierzyli bezwzględnie, że prędzej albo później carat runie; wiedzieli również, że walka bez ofiar się nie obejdzie i każdy z nich deklarował się na śmierć, byleby sprawa nasza zwyciężyła. Zasadą jednak było w oddziałku — starać się pokonać wroga i samemu nie zginąć.

Najdzielniejszymi i najwięcej oddanymi byli towarzysze: Cymerys Kwiatkowski, 17-letni chłopiec, utrzymujący nieomal z swej pracy matkę wdowę i dwie małe siostry; Kupis (Klarnet) i Sękowski (Henryk). Trójka ta była duszą odziałku.

Przywódcą ich, jak wyżej zaznaczyłem, był tow. Biały, ale na demonstracji miał nimi dowodzić tow. Kopacz, ponieważ Biały musiał iść wysadzić spory most kolejowy pod Jedlnią.

Otóż 23 grudnia, a więc w przeddzień wypadków, wieczorem, poleciłem, aby cały oddziałek bojowy stawił się w komplecie na zebranie. Zebranie zagaiłem przemówieniem, w którym scharakteryzowałem konieczność walki z caratem; wytłomaczyłem zebranym, jakie są na nas włożone przez C. K. R. obowiązki i jak je wypełniać. Zwróciłem uwagę moich młodych towarzyszy, że chociaż wróg jest potężny, zorganizowany i w brutalności swej bezwzględny, to jednak my musimy doprowadzic go do zdezorganizowania, musimy go nękać bez wytchnienia, ale musimy to czynić w ten sposób, by przy jak najmniejszych ofiarach z naszej strony możliwie jak najcięższe zadawać caratowi ciosy. Wskazałem zebranym, że naszym celem, zadaniem i obowiązkiem jest niszczyć bezwzględnie rząd, nie tracąc ludzi z pośród naszych szeregów, i dlatego mówiłem:

„Każdy z was musi wypełnić to, co mu zostanie polecone, nie zostawiając po za sobą żadnych danych, mogących naprowadzić na ślad organizacji.

W razie wsypy, nie należy się nigdy przyznawać do niczego, dawać mylne objaśnienia, żeby jaknajwięcej śledztwo zaplątać.

Ale po za tym wszystkim, obowiązkiem waszym jest wszystko spełnić bezwzględnie, nie wsypując się".

Po objaśnieniu zadań ogólnych partji na dziś, zawiadomiłem ich o akcji, jaka nazajutrz miała nastąpić, naznaczając każdemu role poszczególne do spełnienia. A więc: tow. Biały z Jakubem mieli przyszykować sobie dynamit i pociągiem popołudniowym pojechać do Jedlni, w celu wysadzenia mostu. Tow. Kopacz z Henrykiem mieli się udać również nazajutrz wieczorem za miasto, w celu wysadzenia drugiego mostu, bliżej miasta, niedaleko Dzieszkowa. Wysadzenie powinno nastąpić o jednej godzinie i minucie,—naznaczona została godzina 6-ta wieczór. Tow. Cymerys (Flet) obowiązany był na demonstracji nocnej nieść sztandar. Dowodzić miał Kopacz, zaś pozostałym towarzyszom polecono stanowić czoło pochodu, który, w razie pożaru w mieście, powinien się zebrać wcześniej na placu pod kościołem pobernardyńskim, zaś w razie nieudania się pożaru, pochód miał ruszyć również z pod wyżej wymienionego kościoła, ale po północy, po pasterce.

Dodawszy jeszcze kilka wyjaśnień ogólnych, zawiadomiłem, że teraz rozdam im broń z warunkiem, aby każdy użył tej broni przeciw wrogowi i że każdy, kto ją otrzyma, obowiązany jest walczyć o sprawę Niepodległości i sprawę Ludu Roboczego, aż do ostatniej kropli krwi.

Powiedziawszy to, wyjąłem z koszyczka przywiezioną nam przez tow. Karola broń, a dołączywszy do każdej sztuki po kilkadziesiąt ładunków, wręczyłem zebranym... Było nas tylko kilkunastu, ale uważaliśmy się od chwili rozdania broni, za ludzi, związanych obowiązkiem, ludzi, niezwyciężonych w walce. Ta garstka młodzieży i kilku nas starszych, ważyliśmy się na drugi dzień potężnemu przeciwnikowi skoczyć do gardła.

Ani na jedną sekundę nie zauważyłem w żadnym z obecnych wahania; w oczach widać było upór i wiarę w zwycięstwo.

Byliśmy jakby ludzie inni, świat od tej chwili jakoby dla nas nie istniał; jedyne tylko było pragnienie: rozkaz C. K. R. wypełnić.

Na drugi dzień rano, t. j. 24 grudnia, tow. Kopacz zawiadomił mię, że o godzinie 7-ej wieczorem napewno mają odesłać zmobilizowanych koleją w kierunku Dęblina; że przedtym będzie urządzona wieczerza wigilijna przez N.Decję w miejscowej Resursie dla chłopów, idących dziś wieczorem na wojnę, i że w tej wieczerzy weźmie udział jeden z księży, oraz pan Wigura; że ma być tam wygłoszona mowa, wzywająca chłopów do walki z Japończykami za cara i „ojczyznę"; i że w końcu mają być rozdane uczestnikom poświęcane medaliki.

Samei tej wieczerzy postanowiliśmy nie przeszkadzać, natomiast przygotowywać się do akcji nocnej. Poprosiłem tow. Kopacza o zawiadomienie jednej części komitetów fachowych, aby zorganizowani przez nich towarzysze, w razie pożaru, stawili się na placu bernardyńskim, w razie zaś, gdyby pożaru nie było—na pasterce w kościele. Sam poszedłem również zawiadomić resztę komitetów, umówiwszy się na 1-szą popołudniu w mieszkaniu Kopacza, skąd mieli towarzysze wyruszyć do wysadzania mostów. Poleciłem, aby kilku towarzyszy z agitacyjnej organizacji było na stacji wieczorem po 7-mej, w celu namawiania jeszcze raz, przygnanych tam i zmobilizowanych chłopów do ucieczki z dworca na wieś... W godzinę później widziałem się z towarzyszem, który miał wywołać pożar. Otrzymał on ligroinę i dynamit. Ligroinę do podpalenia, a dynamit dla wywołania w czasie pożaru eksplozji.

W interesie naszym leżało, aby powiat zgorzał doszczętnie wraz z papierami mobilizacyjnemi, a to będzie mogło być tylko wtedy uskutecznione, gdy strażacy będą się bali przystąpić do ognia; dynamit więc miał ich odstraszać.

Oprócz biur rządowych, mieszkał na piętrze w tym samym gmachu naczelnik powiatu—kawał psubrata, kwalifikującego się już oddawna, za łotrostwa i znęcanie się nad ludnością, na tamten świat; nie mielibyśmy też przeciwko temu nic, gdyby był i on zgorzał. Pożar miał wybuchnąć o godzinie jedenastej przed północą.

O 1-szej po południu w stancyjce Kopacza zastałem towarzyszy: Białego i Jakuba, którzy mieli jechać wysadzić most pod Jedlnią, towarzysza Hen. Mierzejewskiego (Kulawego), studenta politechniki w one czasy, i samego gospodarza mieszkania—towarzysza Kopacza. Wyjaśnić trzeba obecność towarzysza Kulawego. Towarzysz K., nadzwyczaj dzielny agitator wśród rzesz robotniczych, pragnął koniecznie być przy

szykowaniu materjałów wybuchowych, jak również przy samym odjeździe towarzyszy. „Chciałbym, jak mówił, uścisnąć im dłonie i życzyć powodzenia". Zgodziłem się na obecność towarzysza Kulawego, bo chociaż nie był oficjalnie członkiem komitetu, ale był jednak mężem zaufania.

Zapakowawszy materjał jak należy, owinąwszy go fartuchem stolarskim, towarzysze byli gotowi do odjazdu. Dałem każdemu z nich po 15 rb. na drogę w razie, gdyby trzeba było uciekać za granicę. Każdy opatrzył sobie broń; przytym umówiłem się z nimi, gdzie mnie mają szukać aby po „robocie", jak wszystko „dobrze pójdzie", zgłosić się mogli ze sprawozdaniem. Na dowidzenia ucałowaliśmy się, jak z dubeltówki.

Już byli za drzwiami, kiedy za nimi krzyknąłem: „Pamiętajcie, że macie się stawić z powrotem na 10-tą wieczór!" „Będziemy napewno!"—już ze schodów odpowiedział Biały. W mieszkaniu na chwilę zapanowała cisza.

Bądź co bądź pierwszy raz w Radomiu braliśmy się do znienawidzonego caratu na ostro. Każdemu z nas świdrowała jedna myśl w głowie: niszczyć wroga.

Kulawy zbliżył się do okna, skąd było widać obydwóch, szybko zdążających na pociąg, towarzyszy. Biały co chwilę przekładał z pod jednej pod drugą pachę „pakuneczek". Po ruchach głów można było wywnioskować, że bardzo ożywioną prowadzą ze sobą rozmowę... W stancyjce naszej pierwszy odezwał się Kulawy: „Wiecie co, towarzysze, że jednak to jakoś głupio się człowiekowi robi, patrząc, kiedy ludzie ot tak sobie, z uśmiechem, na śmierć może pędzą". „A juz! zaraz śmierć—odrzekł Kopacz—nam do śmierci daleko, my caratowi śmierć niesiemy!" Przerwałem owe filozoficzne wywody, czasu bowiem było niewiele, wieczór, a z nim i „akcja" zbliżały się; trzeba było resztę przygotowań ucyynić. Umówiłem się z Kulawym, aby w nocy, w czasie pochodu, nie mieszał się do niczego i trzymał zdaleka. Studenta łatwo można było w tłumie zauważyć, a przytym utykał na nogę. W tej chwili ktoś do drzwi zapukał. Kopacz swoją „paczkę" usunął na stronę, ja pospieszyłem do drzwi. W sieni spotkałem pewnego towarzysza fryzjera, który przyniósł kilkanaście sztuk wąsów i jedną brodę. Wąsy miały służyć dla naszych młodych towarzyszy, broda zaś—dla tow. Kopacza, w tym celu, by

szpicle i żandarmi nie mogli ich w czasie demonstracji poznać. Za chwilę rozeszliśmy się: ja do miasta wydać resztę poleceń, Kulawy do znajomych studentów i inteligentów, aby, jak mówił, „zaprosić ich na frajdę"; Kopacz, wziąwszy „pakuneczek", udał się do Henryka, z którym o 5-ej mieli wyruszyć za miasto—wysadzić most. Wskazówki potrzebne, jak również i łopatkę do kopania w nasypie kolejowym, otrzymał odemnie...

Szarówką wyszedłem do miasta; chciałem się trochę przejść i skupić w sobie, bowiem przez te kilka dni nie było ani chwili wolnej, myśl znajdowała się jak w jakimś kole zaczarowanym, wszystka skupiła się około akcji, mającej nastąpić... Wszedłem do ogrodu miejskiego...

W bocznej alei, na ławce, spotkałem siedzącego w zadumaniu tow. Cymerysa—Kwiatkowskiego. „Co wy tutaj, towarzyszu, robicie? o czym dumacie?"—Zapytany spojrzał na mnie wzrokiem, który mię mocno zastanowił. „Proszę was, towarzyszu—zwrócił się do mnie—właśnie w tej chwili postanowiłem z oddziałkn bojowego wycofać się; żebyście zaś nie posądzali mię o tchórzostwo, będę dziś w nocy na stanowisku —pójdę ze sztandarem, ale jutro zwolnijcie". „Cóż, trudno—jeżeli czujecie, że trzeba się wycofać, nie mam nic przeciwko temu; zajdźcie jutro rano, to jeszcze w tej sprawie pomówimy a teraz może przejdziecie się na stację kolejową, gdzie mają przypędzić zmobilizowanych, powiecie naszym tow. robociarzom, którzy w tym czasie będą się tam znajdowali, aby, gdy tylko zauważą wśród żandarmerji jaki niepokój, w tej chwili rozpoczęli jaknajenergiczniejszą agitację, namawiając zmobilizowanych do powrotu na wieś.

Na dowidzenia dam wam radę: przed każdą ważniejszą sprawą, czy to w życiu partyjnym, czy swoim własnym; nie poddawajcie się żadnej zadumie, marzeniom czy pesymizmowi. Zycie nie jest marzeniem; jest to twarda rzeczywistość i człowiek, który chce życie, a właściwie przeszkody życiowe łamać, musi być twardy; w walce życiowej nie może być dumań, które odbierają nam odporność, dając wzamian wahania i osłabienie ducha. Idźcie więc, załatwcie polecenie, później zaś zobaczcie się z naszymi towarzyszami".

O godzinie piątej i pół doleciał mię śpiew z ulicy, jakiś smutny, żałobny... Pogrzeb widocznie... Śpiewają: „Kto się w opiekę"... Cóż, u licha, myślę; przecież to dzień wigilijny

i już wieczór. Zaciekawiony, wychodzę z ogrodu na ulicę i spotykam kilkuset ludzi, idących szeregami, śpiewających pieśń nabożną; prowadził ich jeden tylko żołnierz bez broni i jeden oficer. Byli to zmobilizowani. Szli z żałobną pieśnią na ustach na śmierć. Szli namówieni przez Narodowych Demokratów, że idą Polskę ojczyznę ratować. Tam gdzieś w dalekich pustyniach szli ginąć. W czyjej obronie, w czyim interesie mieli walczyć gdzieś zdala od kraju? Powszechnie było wiadomym, że Moskale, dzięki nieorganizacyjności i złodziejstwu wewnątrz armji, wojnę tę przegrają.

Kilkuset mężczyzn—Polaków szło na śmierć w obronie interesów krwawego cara—kata naszego narodu... Ale kazał ksiądz w swojej przemowie, a na drogę, na pewną drogę na tamten świat, zawiesił na szyi każdego—krzyżyk.

Pan Wigura—znakomity mówca — również kazał iść i ginąć...

Lokajstwo dla cara—N.Decji.

Sprzedanie krwi własnego narodu — dla biurokracji rosyjskiej...

Patrzyłem na przechodzących z jakąś głuchą złością. Tyle pracy, tyle słów i taka bierność, poddanie się. Przeszli... pieśń ginęła powoli w ciemnej ulicy, coraz smętniej, coraz żałośniej.

„Cholery, psiekrwie!"—wyrwało mi się głośno z ust i.., w tejże chwili oprzytomniałem: z oddala słyszeć się dał głuchy huk, jakgdyby oddalony grzmot. Spojrzałem na zegarek—do szóstej brakowało pięć minut. Kopacz i Henryk swoje zrobili, czy tylko umkną niepostrzeżeni?...

Wolnym krokiem idąc, skierowałem się na dworzec kolejowy. Na długiej ulicy, niedaleko dworca, spostrzegłem po drugiej stronie idącego w stronę miasta towarzysza z fachowej organizacji szewców. Zapytałem go, co słychać na dworcu. Odpowiedział, że robota idzie nieźle, chłopów sporo już uciekło wskutek agitacji naszych kilku towarzyszy; wśród żandarmerji i służby kolejowej popłoch ogromny. Ktoś puścił pogłoskę, że Japończycy wysadzili gdzieś niedaleko mosty kolejowe; pogłoski te doszły także do zmobilizowanych chłopów, co uczyniło na nich szalone wrażenie, które dopomogło naszym towarzyszom do przeprowadzenia agitacji. W tej chwili —mówił dalej towarzysz—kilkudziesięciu pozostałych chłopów

mają żołnierze odprowadzić do koszar na Piaskach. Tak więc akcja nasza już do pewnego stopnia pokrzyżowała plany miejscowych satrapów. Żeby to tak w całym kraju jednocześnie można było urządzić. Niestety... brak jedności wśród ludu, niezrozumienie interesów narodowych, a przedewszystkim robota N.Deków, czyniło z nas naród niewolników. Lepsze jednostki zrywały się do walki z potężnym wrogiem, nie podtrzymywane przez ogół, a nawet często potępiane—występowały w obronie praw i wolności ogółu, a grupy lokajskie przeszkadzają. Znów mnie zaczynała złość podrywać; chwilami przychodziło obrzydzenie, ale rozkaz C. K. R. musi być spełniony.

Zawróciłem z powrotem do miasta. Poszedłem na kolację wigilijną do towarzysza Szukiewicza (Starego), będącego w one czasy woźnym w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim. Człowiek to już był starszy, duszą i ciałem oddany sprawie, jak również i cała jego rodzina, 1907 rok zapędził ich wszystkich do katorgi...

Już na schodach zaleciał mię zapach smażonych ryb i gotowanych owoców. Dobrze, myślę sobie, jak człowiek cokolwiek się posili, to i złość przejdzie.

W mieszkaniu—pojedyńczej stancji, gwarno... Choinka rzęsiście oświetlona; większa i mniejsza dzieciarnia skacze z radości... Tow. Stary z powagą butelczyny stawia na stole.

Przywitawszy się ze mną, pyta: co słychać? Mówię, że jak dotychczas—dobrze. Po „robocie" zejdą się wszyscy tutaj i stąd ruszymy pod kościół. „No to i ja z wami—rzekł tow. Stary—a tymczasem pożywmy się, czym chata bogata". To mówiąc, nalał kieliszki. Trąciliśmy się na pohybel caratowi—na zwycięstwo naszej sprawy... Wszyscy zasiedli do stołu... O godzinie 9-ej otrzymałem wiadomość o akcji przy pierwszym moście, a mianowicie: połowa niewielkiego mostu zniszczona—wykonawcy poszli na kolację... O dziesiątej otwierają się drzwi, wchodzi Biały. Jak zawsze, uśmiechnięty. „Robota zrobiona w porządku". Wybuch był w skutkach dobry; żelazny most dosyć duży zniszczony. Od wybuchu aż ziemia jękła, a kawałki żelaza ze świstem rozlatywały się na dosyć daleką przestrzeń. Nikogo z obcych nie spotkali ani w jedną, ani w drugą stronę.

Stary napełnił kieliszki.

„Za waszą pracę, towarzysze"—rzekł do Białego... Dochodzi jedenasta. Co chwilę wychodzę na dwór—wsłuchuję się w ciszę miejską, azali nie usłyszę dzwonków pożarnych... Cisza i cisza... Co, u licha, czyby go aresztowali? A może zląkł się i nie poszedł... Sam się napraszał... Za godzinę pójdziemy pod kościół; demonstracja być musi...

Cudowna księżycowa noc... W powietrzu mroźno, ale cichutko; w naturze spokój i tylko tu, wśród ludzi, wre głucha walka... Silniejszy—bezwzględny wróg, nielitościwie depcze zmordowany naród. Gdzieniegdzie w oknach widać światło, widocznie szykują się do pójścia na nabożeństwo...

Ulicą, trotuarem śpieszą gromadki osób do kościoła; środkiem—wolno, co jakiś czas, przechodzi patrol wojskowy, złożony z grupki żołnierzy, postępujących w odległości kilku kroków jeden za drugim. Żaden z nich nie przeczuwa nawet, że niedługo może żyć przestanie. Miasto ciche, naogół uśpione...

Na cmentarzu kościelnym zastałem już Kopacza, z powagą spacerującego w zmroku nocnym. Broda zmieniła twarz jego do niepoznania. „Cóż—pytam go—jak sprawy się mają?„—„Jak dotychczas, dobrze; oddziałek na miejscu. Wąsiska pozakładali—nikt ich nie pozna. Kwiatkowski jest ze sztandarem. Kiedy rozpoczynamy?" Odpowiedziałem: „jak tylko zaczną wychodzić z kościoła. Pamiętacie, jak rozpocząć?"—„Pamiętam: najprzód zawezwiemy wychodzących do zatrzymania sią, rozwiniemy sztandar i hukniemy Czerwonego; po prześpiewaniu strofki salwa w górę i na ulicę".—„Dobrze"—mówię. „Słuchajcie—zatrzymuje mnie jeszcze—dlaczego to pożaru nie było?"—„Niewiem nic, co z nim słychać"—odpowiedziałem.

Pod drzewem stoi kilku robotników-garbarzy z fabryki Karscha.

Podchodzę do nich, witając: „Cóż, jakże się, towarzysze, czujecie?"—„Dobrze, dobrze"—odpowiadają chórem, a jeden z nich odciąga mnie na bok i pokazuje długi na łokieć sztylet czy nóż.—„To dziś zmajstrowałem sobie; może jakiego fijoła wyprawi się na tamten świat".

Drugi z nich z zadowoleniem opowiada, jak żonie świsnął dziś chustkę, jak ją zastawił, a za pieniądze pożyczone kupił

u znajomego swojego rewolwer i kilkadziesiąt ładunków. „Może się dziś przyda, tylko że boję się do domu wrócić, bo może kobita się zmiarkowała, to będzie bieda".

I nie wrócił—dostał się do więzienia.

W tej chwili zrobiło się poruszenie przy głównym wyjściu z kościoła; ludzie zaczęli zwolna wychodzić. Kopacz momentalnie ruszył ku gromadce towarzyszy, stojących z boku. Naraz poczułem, że ktoś mię z tyłu szarpnął. Odwracam się i widzę towarzysza, który miał ów pożar wywołać. Pytam go, co to ma znaczyć, że nie wypełnił swego zadania. Odpowiada, że bał się podpalić, aby go przy ogniu nie złapano, tymbardziej, że warty na ulicy przed powiatem wzmocnione. Mówiąc to, jednocześnie zwraca mi pakunek z dynamitem. Zirytowany, powiedziałem mu kilka przykrych słów, zaznaczając, że nie mam czasu na żarciki; tu ludzie może na śmierć idą, a wy stchórzyliście.

W tym usłyszałem od wyjścia z kościoła głosy: „Proszę się zatrzymać! Towarzysze do szeregu!"... Za chwilę wśród księżycowej nocy popłynęła pieśń: „Krew naszą długo leją katy"... Tłum się zwiększał dość szybko... Po pierwszej strofce dano salwę z rewolwerów i około trzechset osób wyszło z dziedzińca kościelnego na ulicę. W tej chwili przechodził patrol żołnierzy. Słysząc śpiew i strzały, a później widząc wysuwający się pochód na ulicę, żołnierze wzięli karabiny pod pachę i pędem skręcili w boczną ulicę. To podnieciło uczestników pochodu i wszyscy tym głośniej zaczęli wznosić okrzyki: Precz z caratem! Precz z mobilizacją! Niech żyje Polska Niepodległa! Niech żyje Rewolucja! Odgłos śpiewu i strzałów zwabił wiele osób z drugiego kościoła. Na ulicy powstał tak, jak gdyby kurz. Niektórzy przechodnie pędem biegli, aby pochód dogonić. W pochodzie już szło około siedmiuset osób. Pieśń bojowa proletarjatu coraz więcej potężniała.

Rozespane twarze burżujów, rozbudzonych po dobrej kolacji wigilijnej hałasem na ulicy, ciekawie ukazywały się w szybach okien; a ujrzawszy na czele pochodu sztandar z napisem „Niech żyje Rewolucja" i zmiarkowawszy, co się to dzieje, z przerażeniem znikały. Pochód szedł dość szybko aż do placu, na którym stała nowozbudowana cerkiew. Z przeciwnej strony, w głębi ulicy, widać było szybko zbliżające się

dwie dorożki, a za nimi biegnący oddziałek wojska w liczbie pół roty, czyli kompanji.

Ktoś krzyknął: „Rozejść się!" Ale w tej chwili usłyszałem donośny głos Białego: „Nie rozchodzić się! Naprzód! Precz z caratem! Precz z mobilizacją!" Tłum zagrzany, w tej chwili ruszył naprzeciw nadbiegającemu wojsku. I znów usłyszałem komendę Białego: „Towarzysze, z bronią naprzód! Brać na oko oficerów!"... Pochód z placu wszedł w ulicę Lubelską idąc trotuarem od strony kamienicy Staniszewskiego. Nadjeżdżające dorożki zatrzymały się. Z jednej wysiadło dwóch oficerów, z drugiej—jeden. Dorożki skręciły w bok. Oficerowie chwilę jakgdyby się wahali... Naraz starszy z nich, jak się później dowiedziałem—pułkownik, dowodzący pułkiem miejscowym, wydał krótki rozkaz. W mgnieniu oka nadbiegający oddział stanął i zwrócił się przodem do uczestników pochodu, którzy, utworzywszy ścisłą gromadę, zatrzymali się naprzeciw żołnierzy. Chwilowa cisza zaległa ulicę. Wokoło żołnierzy pełno było ludzi. Wszyscy czuli, że coś się stanie; ale ruszyć z miejsca, odejść, nikt nie był w stanie. Jakaś siła tajemna przykuła wszystkich do miejsca. Biały przerwał ciszę okrzykiem: „Precz z wojskiem! Niech żyje Rewolucja!" Znów zaczęto śpiew Czerwonego Sztandaru...

I stały naprzeciw siebie dwie grupy ludzi: jedna, uzbrojona w karabiny, a druga—w małego kalibru rewolwery. Pierwsza z tych grup oniemiała, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Druga—żądna walki, ale czekająca na zaczepkę...

Pułkownik, dobywszy rewolweru, rzucił się w stronę naszego sztandaru. Schwycił Kwiatkowskiego za głowę, lecz ten zręcznym ruchem wykręcił mu się z rąk. Wtym Biały, niemal przyłożywszy lufę, palł mu w głowę, za nim poprawia Jakób. Pułkownik, zwinięty w kłębek, ciężko potoczył się w rynsztok. Adjutant jego, widząc, co się dzieje, woła na żołnierzy: „Strielaj"! Huknęła salwa... Tynk z gzymsów i ściany kamienicy posypał się na głowy towarzyszy. Nie wiem, dlaczego, czy może źle były nastawione celowniki, czy też dlatego, że za blisko staliśmy, bo jakieś może sześć kroków dzieliło nas od żołnierzy, dość, że nikt z nas nie został poszwankowany. To dodało naszym otuchy. Dalejże walić z rewolwerów. Za chwilę już leżał żandarm i jakiś żołnierz

a później za ramię schwycił się adjutant, wrzeszcząc: „Jej Bogu, ruku potierjał!"

Żołnierze dali drugą salwę. Tym razem kulki świsnęły nam koło uszu, ale każdy stoi na miejscu. Odpowiedzieli chłopcy z rewolwerów. Adjutant znów nagli krzykiem... Trzecia salwa jeszcze niżej. Znów jakoś szczęśliwie.

Wtym... potężny huk rozdarł powietrze. Ziemia jakgdyby zadygotała. Na placu koło cerkwi zrobiło się na chwilę widno, a później—brzęk lecących szyb. Żołnierze przerażeni, opuścili broń do nogi. Towarzysze, jak gdyby obudzeni ze snu, momentalnie rozpierzchli się na wszystkie strony. Na trotuarze pozostał, jak zaklęty, wpatrzony gdzieś przed siebie, tow. Kwiatkowski z rozwiniętym sztandarem w dłoni.

Trzeci oficer, który do tej pory nie brał udziału, podbiegł do Kwiatkowskiego i zza słupa telegraficznego, na odległość dwóch kroków, dał dwa strzały z rewolweru. Tow. Kwiatkowski szybkim ruchem zdarł sztandar z drzewca, schował go w zanadrze i kucnąwszy pod ścianą kamienicy, niedaleko od zabitego pułkownika,—skonał. Dostał strzał w serce... Ludzie zaczęli się rozbiegać, na placu walki pozostały dwa trupy. Dogoniłem naszych towarzyszy, poodbierałem od nich broń, którą zabrałem z sobą, aby przechować do następnej akcji.

Wracając do domu, za ogrodem spotkałem „Kulawego", zadowolonego, że się udało, nie spostrzegł, że i myśmy stracili towarzysza. W dwie godziny później wpadli do mieszkania mojego żandarmi i po przeprowadzeniu ścisłej rewizji odprowadzony zostałem pod bardzo silną eskortą do więzienia. Po drodze wymyślano mi od miatieżników i ciągle dogadywano, żem zabił pułkownika.

A teraz słów kilka, wyjaśniających wybuch koło cerkwi. Oto, jak wspomniałem, ów towarzysz, który miał podpalić powiat, wrócił, nic nie uczyniwszy, z pakunkiem dynamitu, który pod kościołem chciał mi wręczyć, a którego nie przyjąłem. Przygnębiony, nie wiedząc, co z sobą zrobić, poszedł za pochodem. Widząc zaś, że walka się rozpoczyna na dobre, podbiegł pod murowany, z żelaznemi sztachetami parkan, okalający cerkiew, podłożył ładunek, podpalił lont i sam w nogi. Wybuch akurat nastąpił po trzeciej salwie, właśnie wtedy, kiedy następne salwy mogły się były stać dla nas krytyczne-

mi. Wybuch oszołomił na chwilę żołnierzy, a przez ten czas towarzysze, uczestnicy pochodu, rozsypali się.

Tej nocy aresztowano, prócz mnie, Kopacza i jeszcze kilkadziesiąt Bogu ducha winnych osób.

W przededniu wyborów.

Obrazek z czasów okupacji austrjackiej i wyborów do pierwszej Rady Miejskiej w Lublinie.

Olbrzymi drewniany budynek w Lublinie... Okrągła teatralna sala z obdrapanemi i brudnemi ścianami, drewnianym belkowanym, cokolwiek kopulastym sufitem. Kilka niewielkich naftowych lamp rzuca skąpe światło...

Sala wprost przepełniona—wszystkie miejsca co do jednego zajęte, przy drzwiach również tłok, że przecisnąć się trudno.

Wkoło wynędzniałe, wyschnięte twarze mężczyzn i kobiet... Nędza... Tłum robotniczy zebrał się, by się przygotować do spełnienia obowiązku obywatelskiego — do wyborów... To wiec robotniczy... Jeszcze kilkanaście minut zostało do podniesienia kurtyny. Ze sceny będą przemawiali różni mówcy, uzasadniając konieczność wzięcia udziału przez robotników w wyborach. Zebrani tymczasem dzielą się na grupki i dyskutują o wypadkach dni ostatnich.

— A jakże, wczoraj to raniutko do dnia poleciałam po mąkę i ledwiem koło jedenastej do sklepu się dostała. Cały kaftan na mnie porwali, tak się to pchało; bo podobno choć za kartkami, ale niewiele mąki miało być w sklepie.

— A pocóż nie należycie do sklepu związkowego, tam się pchać nie trza, tam, jak mają, to każdy dostanie, ale trzeba być członkiem.

— Ej! co tam mówicie! Ja jestem członkiem, ale cóż, kiedy w sklepie naszym też często niema. Mówią, że burżuje to wszystko odrazu dostają, tylko dla biednego robociarza to zawsze brak...

— Wiecie, towarzyszu, wczoraj byłem na zebraniu, gdzie przemawiał jakiś socjalista, nawołując robotników, aby się zu-

pełnie polityką nie zajmowali. Tylko, mówił, związki zawodowe tworzyć, sklepy spółkowe zakładać, a do polityki się nie brać, bo robotnikowi nic z tego nie przyjdzie, a przytym niewiadomo, co jutro może być. Później inny znowu zabrał głos i mówił, że właśnie brać się do polityki, bo jak robotnik nie będzie się wtrącać, to całą politykę weźmie w ręce burżuazja, i takie prawa nam uchwali, że żryć nie będzie co, pomału nas zamorzy, i znów będzie tak, jak za moskali. Więc, mówił ten drugi mówca, też socjalista, że właśnie robotnicy powinni się garnąć do wszystkiego, i organizować się politycznie w partję, ale jedną i silną i w związki zawodowe.

— Mnie się też widzi, że ten drugi miał rację, bo jakże, jak się od czego odsuniesz, to i bez ciebie zrobią inni i może na twoją szkodę.

— Towarzysze!—rozlega się głos gdzieś na sali — proszę nie palić papierosów, bo budynek drewniany, może być wypadek... Racja, racja, słychać tu i owdzie. Gaście papierosy, nie palić.

W innej gromadce zawzięcie dowodzi jakaś robotnica:

— Co to za prawa! Wyście się tu zeszli i będziecie wybierać, macie niby na to prawo, a każda z nas, co niegorzej od chłopa w fabryce haruje, to ma nie mieć tego prawa? Jakże to tak będzie? Mówią, że jak moskale poszli, to w Polsce będzie dobry ład, że Polska ma być ludowa i że kobity, mają mieć głos; a tu jak co do czego, to zdechł pies, chłopy wszystko, a kobity nic.

— Ależ, moja pani, kto to słyszał, żeby niewiasty wybierały do Rady miejskiej?

— A tylko? Jeżeli ja pracuję i opłacam różne podatki, to chyba jest sprawiedliwie, żebym głos miała na równi z mężczyzną.

Bliżej sceny omawiają zebranie, jakie się odbyło kilka dni temu, gdzie księża nawet byli i mówili, że trzeba się do związków, ale nie żydowskich, tylko chrześcijańskich, zapisywać.

— Mówili też, że te związki, co teraz są, to socjaliści po to pozakładali, aby robotników od kościoła i religji oderwać.

— Ba, bo wiadomo, im o to idzie, aby robotników cały tydzień strzygł fabrykant, a oni znów w niedzielę.

— Mnie też mówiono, jakem do nich dawniej należał, żebym się na tym świecie o nic nie martwił, bo na tamtym

wszystko dostanę; ale jakem szwagrowi mówił przede śmiercią, aby mi tak czy owak dał znać, jak tam jest, to już dwa roki jak pomarł i ani słychu, ani dychu. Widać, że się niema czym pochwalić i dlatego nie daje znać.

— Żeby choć ta wojna się skończyła i żeby choć ta Polska taką była, jak gadają, toby i nie żal było teraz pocierpieć.

— Będzie, będzie, ale trza się nie dawać ani biedzie, ani burżujom, trza się organizować, trzeba walczyć i samemu wszędzie włazić i wołać wielkim głosem, że sprawiedliwości chcemy i trzeba tę sprawiedliwość sobie zrobić.

— Prawda, prawda, bez roboty nic nie będzie!

Naraz podniesiono kurtynę...

Gwar ucichł... Wszystkich oczy zwróciły się na scenę... Na środku kilka stołów rzędem, za niemi siedzi kilkunastu wybitniejszych przedstawicieli proletarjatu, w środku ten, co ma przewodniczyć. Cisza na sali taka, że, zda się, muchę usłyszysz...

Przewodniczący wstaje i w krótkich wyrazach motywuje przyczynę zwołania wiecu oraz komunikuje, że na listę zapisanych jest kilku mówców, którzy w przemówieniach swych uzasadnią konieczność wzięcia udziału w wyborach przez robotników. Na całej sali rozlegają się głosy: prosimy, niech mówią! Więc jedni po drugich występują i zabierają głos. W mowach ich widać, że żyją razem z tą masą robotniczą, że z niej wyrośli.

Zgrzyt, ból i skarga wydziedziczonych płynie namiętnym potokiem po nad zebranym tłumem, który duszą swoją co raz więcej zespala się z mówcami. Bo ciężka zawsze była dola ludu roboczego, okropną jest i dziś.. Gorycz ta, co gdzieś w głębi dusz gromadziła się po przez cały szereg ciężkich robotniczych dni, poruszona słowami mówców, wzbiera i uprzytamnia nędzarzom ich stanowisko społeczne. Kurczowo zaciskają się dłonie i ciężkie westchnienie wydziera się z piersi.

Widać, jak stopniowo martwe dotychczas twarze słuchaczy ożywiają się, każde słówko mówcy działa, jak prąd elektryczny. I jak ma nie działać, kiedy każdy czuje, że to, co się tam, na wzniesieniu, mówi, to prawda, to jak gdyby z ich własnego życia wzięte?

— Towarzysze!—głoszą jeden po drugim mówcy. — Wy też musicie walczyć o prawa dla siebie! Wy musicie brać udział

w obecnym tworzeniu się nowego państwa! Wy musicie nietylko budować go wewnątrz przez swój udział we wszystkich instytucjach gospodarczych, społecznych i politycznych, ale musicie jednocześnie również brać udział w obronie niepodległości i granic tego państwa przed jakimkolwiek najazdem. A przez to Wam nikt nigdy nie będzie śmiał zaprzeczyć praw, bo prawo to zdobędziecie własnemi rękami, własnym trudem.

— Racja! racja! Prawdę powiedział!—słychać tu i owdzie, a w niektórych punktach przemówień tłum oklaskami nagradza mówców.

I ciągnie się cały szereg przemówień, coraz ognistszych, coraz namiętniejszych. Aż oto na podniesieniu zjawia się młody człowiek, staje przed zgromadzonemi i zaczyna mówić. Jeden skok w prawo i znów kilka skoków w lewo, podnosi się na palcach, przysiada za chwilę, cofa się trzy kroki w tył i znów skok w prawo. Nie mówi, lecz deklamuje. Chwilami głos grzmi, że tylko patrzeć, jak sufit z przerażenia runie, i znów szepcze tak cichutko, jak powiew wiatru, i że aż od wejścia słychać głosy: głośniej, bo nic nie słychać!

— To pewnie taki, co to w teatrze pokazuje—mówią prości robotnicy.

— On studjował tę mowę przed lustrem u siebie w domu podobno przez 3 wieczory—twierdzą jakoby wtajemniczeni.

— Patrzcie, patrzcie, a to go rzuca, jak w choropie! — szepcze jakaś kobiecina.

Tymczasem mówca rzeczywiście, jak na sprężynach, podskakuje, zatacza koła, to znów, zda się, skokiem tygrysa rzuci się z podniesienia, aż przypuszczając, że swoją gimnastyką zahypnotyzował zebranych, rzuca wielkie hasło: Wojna wojnie! i na chwilę skamieniał, stając profilem do zebranych, aby mogli napatrzyć się na jego myślące czoło i orli nos. Zaciął usta dumnie i rękę, w której dzierżył zwitek ze swoją mową, dopiero co na pamięć wygłoszoną, założył w tył.

Postać jego, zda się, tłumowi mówi: „Patrz—oto ja potężny, ja wszechwładny, wypowiadam wojnę wojnie i zgniotę ją tu dziś na tym wzniesieniu swoim okrzykiem". Ale tłumowi robotniczemu, który wsłuchany był w słowa poprzednich mówców, który dopiero co przeżywał swoje własne bóle i troski, nie zaimponowały deklamacja ułożona i balet na wzniesieniu. Czar i zespolenie, jakie było pomiędzy poprzedniemi

mówcami a tłumem, po wygłoszeniu deklamacji przez dumnie stojącego na scenie i oczekującego po swoim „Wojna wojnie" choćby trzęsienia ziemi, — czar ten prysł, pozostał niesmak i niezadowolenie. On nie mówił tego, co serce mu kazało, on nie czuł tak, jak czuli zebrani, on wygłosił deklamację tylko i — zmroził tańcem obecnych.

Lecz oto występuje inny mówca i choć w krótkich, lecz jędrnych słowach zaciera przykre wrażenie po baletniku. Zebrani znów znaleźli się duchowo zespoleni... Więc zbliża się ku końcowi... Uchwalona została rezolucja, głosząca bezwzględną i wzajemną solidarność w czasie akcji wyborczej... Po nad zebranym tłumem rozkołysała się bojowa pieśń proletarjatu: „Krew naszą długo leją katy"...

Robotnicy gromadkami zaczynają wychodzić z sali teatralnej... Tu i owdzie pospiesznie zapalają papierosy... Ba, blizko dwie godziny nie można było zaciągnąć się. Miejscami słychać roztrząsanie tego co słyszeli, i zmawianie się co do jutrzejszych wyborów.

— Nasza musi wziąć górę!—twierdzą jedni.—Co ma nie być, musi być, słyszeliście, co mówili? Prawdę mówili, jak sam sobie co nie pomożesz, to ci nikt nie pomoże.

— Ba, żeby to ludzie kupy się chcieli trzymać, ale nie dosyć, że to nie jeden z naszej braci nic nie wie, to go jeszcze fabrykant i ksiądz bujają na swoją stronę.

— Ano, trza uświadamiać, trza tłomaczyć takiemu.—Jak było, tak było, ale nasza jutro bierze. Tak, tak—musi wziąć.

W innym miejscu stoi gromadka i zawzięcie rozmawiają.

— Moi kochani—mówi ktoś w środku gromadki—wytłomaczcież mi, co to ten chciał, co tak głośno dał hasło, żeby wojnę pobić? Czy to jaki spiskowiec, czy bojowiec może? Ja myślę, że jak on krzyknął, że trzeba pobić wojnę, to chyba tam jakiś sposób na to ma, chciałbym tylko wiedzieć, kiedy on to zrobi, bo dobrzeby było, aby się z tą swoją robotą pospieszył.

— A może to jest jaki rewolucjonista, a może ich jest dużo i pewnie mają i wojsko zorganizowane swoje, żeby tę wojnę rozpędzić.

— To ci będzie kawał patrzyć, jak oni wojnę będą prać!

— Zawracanie głowy, ja go dobrze znam: ani on żaden rewolucjonista, ani żaden spiskowiec, ani do walki z wojną się nie kwapi, bo i sam ma trochę pietra. To sobie jest zwyczajny człowiek, a że takie hasło rzucił, to dlatego, że teraz jest wszystko bojowe, no to i on chce być trochę bojowy, choć w teatrze. A teraz to on sobie spokojnie pójdzie spać i o żadnym wojowaniu z wojną ani mu się nawet przyśni.

— Jakto, więc myślicie, że to z tym pobiciem wojny to bujda?

— A rozumie się: ani jego nikt nie brał na serjo, ani on siebie, również nie myślał i nie myśli o tym, że jak się co głosi, to trzeba wykonywać. Po co sobie robić kłopot i walczyć i to jeszcze z całą wojną, lepiej tylko krzyczeć i tak pomalutku wojnę przeczekać.

— No to świństwo, takich rzeczy nie powinno się na naszym robociarskim wiecu gadać; bo albo mówić i robić, albo nikomu nie zawracać głowy; to chyba warjat, albo głupi.

— Ale patrzcie no, myśmy się zagadali, a tu już nikogo niema... Chodźmy do domu, a jutro trzymać się.

— Tak, racja, to będzie prawdziwa wojna, ale nie wojnie, jak tamten klepał, a naszym jutrzejszym przeciwnikom.

— Tak, tak, jutro nasza wojna i musimy ją wygrać. No, dobranoc... Cześć—dobranoc...

O Wojtku i o tajnej drukarni.

„Kurjer codzienny ilustrowany", podając w końcu listopada r. ub. wzmiankę o 25-leciu P. P. S., wspomina o jakiejś drukarni i archiwum, jakoby „skonfiskowanych" przez P. P. S. „lewicowcom". Co do archiwum—nie wiem, jak tam było; co się tyczy drukarni, jeżeli tu chodzi o tajną drukarnię w Zagłębiu, to, w imię prawdy, pospieszam z opisem, jak się rzecz miała. Mogę postawić cały szereg świadków, którzy byli przy wykupieniu i przewiezieniu drukarni, i stwierdzą, że tam żadnego napadu z bojowcami, a tymsamym i konfiskaty nie było.

Autor.

Po rozłamie w P. P. S., a w 1907 roku po zjeździe, zostałem naznaczony przez Centralny Komitet Robotniczy P. P. S. fr. rew. jako funkcjonarjusz do Zagłębia Dąbrowieckiego. Wyjeżdżałem z Wiednia w marcu i na pożegnanie członkowie ówczesnego C. K. R., tow. tow. „Ryszard" albo „Karol" (Jędrzejewski) oraz Dąbkowski, oświadczyli mi: „Jedziecie, Wojciechu, na bardzo ważną placówkę robotniczą; jest tam źle, postarajcie się więc zaprowadzić porządek, jednym słowem—robotę organizacyjno-agitacyjną postawić na nogi. Liczymy, że za kilka miesięcy wasza praca wyda swój plon".

Ano,—myślę,—trzeba jechać i robić, skoro tego wymaga nasza sprawa i skoro jest takie rozporządzenie C. K. R.

Nie chcę tu opisywać moich przeżyć, zanim doprowadziłem okręg do porządku, mogę jednak napisać dziś na zasadzie sprawozdań jesiennej konferencji P. P. S., odbytej w Zakopanem, że w 1907 roku Zagłębie pod każdym względem było najsolidniejszym okręgiem z całego Królestwa. Mogą to stwierdzić towarzysze-robotnicy, którzy w one czasy ze mną w Zagłębiu pracowali.

Przejdźmy jednak do istoty sprawy, czyli do onego, jak „lewicowcy“ twierdzą, „bandyckiego napadu“ Wojtka na „ich“ (?) drukarnię...

Nie pamiętam już dziś, w jakim to było miesiącu—jakoś na wiosnę, w końcu maja, czy w czerwcu. Robota organizacyjna rozwijała się pomyślnie i największą naszą bolączką był brak własnej drukarni. Narazie drukowaliśmy w Będzinie, w pewnej drukarni, będącej pod wpływami bundowców. Tam jednak żądano za robotę drogo, papier dawano kiepski, a najgłówniej—na każdym kroku okazywano, że nam, P.P.S.-owcom robią łaskę. Kilka razy zwróciłem się do towarzyszy na posiedzeniu Komitetu Okręg., czy nie wiedzą, gdzie możnaby nabyć jaką niedużą maszynę drukarską? Ostatecznie nic nie dawało się zrobić. Gotówki tyle, by kupić nową, w kasie okręgowej nie było. Więc tymczasem drukowaliśmy bibułę, gdzie się dało.

Pewnego dnia daje mi znać tow. Bartek ze Sielca, pracujący w hucie Katarzyna, że jest jakaś drukarnia w rękach „lewicowców, którą oni chcą sprzedać, a w każdym razie chcą jej się pozbyć, ponieważ grozi jej i tow. przy niej znajdującym się—wsypa. Tow. Bartek zaklina mię na wszystko, żeby owych tow. ratować; było to w dzień roboczy pod wieczór, na zebraniu. Odpowiedziałem mu, że drukarni nie kupimy, bo niema floty, chyba na raty, a już jeżeli koniecznie chodzi o pomoc, to niech ten „ktoś“ przyjdzie na drugi dzień rano o 9-ej na dziedziniec kościoła, znajdującego się przy ulicy Głównej. Prócz tego umówiłem się o znak „poznania“.

Dnia następnego rano, przed 9-tą, byłem na stanowisku, miałem bowiem zwyczaj czasami wcześniej na randkę przychodzić, aby zbadać „czystość“ terenu. Czekam koło kościołka, ludzie wchodzą do wnętrza, to znów wychodzą, inni siadają na ławeczkach. Trzymam rękę w specjalny umówiony sposób, a tu się nikt nie zjawia. Coś koło 9-ej i pół, kiedy coraz większa pustka koło kościołka powstawała, niekontent z czekania skierowałem się do wyjścia. W tym uwagę moją zwrócił pewien jegomość, dość dobrej tuszy, w sztywniaku na głowie, który jakgdyby chciał się do mnie z czymś zwrócić. Kiedym go mijał, jegomość ów, jak się później okazało ten, na kogo czekałem, zrywa się z ławeczki, dogania mię i pyta: „Czy to pan jest Wojciechem?“ Myślę—dobryś... Wsypa,

czy co? Ale zatrzymuję się i, nie odpowiadając na pytanie, zwracam się do niego ze słowami: „Pan zapewne kogoś szuka?“ Towarzysz ów, zmieszany i zdenerwowany, objaśnia mię, że właśnie miał tu pilny interes, ale do Wojciecha. Widząc jego zdenerwowanie i kombinując, że przecież szpicel nie denerwowałby się chyba w tak widoczny sposób, zapytuję go, czy zna „Bartka“ i czy interes jest w sprawie „maszynki“. Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, zapytałem go o znak, i po przekonaniu się zupełnym, że jest to ten, na którego czekałem, wziąłem towarzysza pod rękę i poszliśmy spacerem przez ulice najwięcej puste i „czyste“.

Z rozmowy dowiedziałem się, co następuje. Maszyna drukarska rzeczywiście jest, ale nie u niego, tylko u jego znajomego (jak się później okazało, to była u niego, a dlaczego narazie konspirował—nie wiem). W domu tym i mieszkaniu już była raz rewizja, ale, na szczęście, nie znaleźli. Obecnie są wiadomości, że lada dzień przyjdą żandarmi powtórnie, ponieważ wiedzą, że maszyna tam jest, że napewno się wsypie, bo cały dom o drukarni wie. W końcu zakończył prośbą, że jeżeli nie chcę maszyny kupić i nie zabiorę jej, to ten jego znajomy rozbierze ją dziś i sprzeda żydom, bo musi siebie i żonę swoją ratować.

Pytam go, do jakiej należy partji? Odpowiada, że do „lewicy“, ale teraz już do nich należyć nie chce. Na pytanie moje, że skoro on jest „lewicowcem“ i skoro, jak mi wczoraj mówiono, tę drukarnię złożyli tam „lewicowcy“, to dlaczego się do nich nie zwraca o zabranie, odpowiedział, że już kilka razy zwracał się do „lewicowców“, że z początku odkładali z dnia na dzień, a teraz zupełnie nie chcą myśleć o zabraniu.

Widząc moje wahanie się, zaczął nanowo molestować. Myślę—cóż? zobaczyć ową maszynę warto. Zapytałem się o adres i oznaczyłem u niego w domu spotkanie na godzinę 2-gą popołudniu.

Wtedy kasjerem Okręgowego Komitetu był tow. „Adwokat“ (Piotr Rudkiewicz), krawiec z zawodu. Udałem się więc odrazu do niego z wiadomością i zapytaniem, w jakim stanie znajduje się finansowość. Odpowiedział mi, że w kasie jest oprócz stu kilkudziesięciu rubli z podatku partyjnego jeszcze

przeszło 300 rubli, zebranych specjalnie na broń, i że możnaby z tych pieniędzy pożyczyć na wykupienie drukarni.

Tutaj muszę czytelnikom zakomunikować, że właściwie, sprawa naprzód powinna była być, wedle ustawy, rozstrzygnięta na posiedzeniu Okręg. Komitetu Robotniczego, ale ponieważ perjodyczne posiedzenie miało się odbyć za kilka dni dopiero i że w dzień roboczy niepodobieństwem było ludzi zwołać, a zwłaszcza w Zagłębiu, gdzie dzielnice organizacyjne są od siebie odległe o 20 wiorst, jak Zawiercie; musieliśmy siłą rzeczy decydować we dwuch z tow. Rudkiewiczem, a przeto brać na siebie całą odpowiedzialność w razie, gdyby Okręgowy Komitet owej tranzakcji nie zatwierdził. Wyboru jednak nie było, wszak na 2-gą miałem się stawić z pieniędzmi, a tu już było po 10-ej. Na szczęście, spotkałem funkcjonarjusza dzielnicy Niemcy, tow. Zawieruchę, któremu zakomunikowałem, jak sprawy stoją. Zawierucha po namyśle powiada, że trzeba na wypadek przyszykować furmankę do przewiezienia i lokal na przechowanie, bo kto wie, może naprawdę wpaść rewizja, a przecież szkoda żandarmom oddać drukarni. Umówiliśmy się z Zawieruchą, że pójdziemy o 2-iej obejrzeć maszynę i ostatecznie zadecydować.

Na drodze z Sielca do Będzina, na tak zwanym Nowym Będzinie, niedaleko stacji kolejowej, po prawej stronie ulicy, wznosi się niewielka piętrowa, z facjatami, kamienica. Tak, jak większość domów w Zagłębiu, mury kamienicy nie są tynkowane i scerniały od pyłu węglowego. Tył, a właściwie drugi front owej posesii, był to parterowy, również murowany i nietynkowany budynek. W budynku tym mieściła się piwiarnia. Punkt druga obydwaj z tow. Zawieruchą zbliżaliśmy się do miejsca spotkania, to jest do owej piwiarni. Szedłem z ogromnym zaciekawieniem zobaczenia tak maszyny, jak i przekonania się, o ile niebezpieczeństwo było groźne.

Wchodzimy do piwiarni, spotykając w niej oczekującego, a znajomego mi już od rana towarzysza. Po kilku słowach dowiaduję się, że maszyna jest w tym domu, którego on sam jest właścicielem. Rano, niezupełnie ufając mi, umyślnie mówił, że to nie u niego, a tylko u znajomego, a następnie jeszcze raz prosi, aby maszynę zaraz zabrać. Przerwałem rozmowę żądaniem pokazania mi nareszcie, gdzie jest i w jakim stanie owa maszyna, przynosząca aż tyle kłopotu

i zmartwienia. „Panowie nie żartujcie"—mówił dalej, szukając kluczy, gospodarz.—„Już kilka razy zwracałem się, żeby ją stąd zabrali, i wszystko napróżno. Wszyscy lokatorzy wiedzą o niej, a był czas, że i broni mi tu naznosili, tak jakby umyślnie chciano mię wsypać". Nareszcie klucze się znalazły—ruszyliśmy więc przez podwórze do jednej z sieni, gdzie nasz przewodnik otworzył drzwi do komórki pod schodami. Weszliśmy do owej klitki, zamykając szczelnie drzwi za sobą. Zapaliliśmy latarkę gospodarza, ten zaś, odgarnąwszy różnego rodzaju rupiecie, podważył czworokątną deskę w podłodze, z pod której ukazał się otwór do loszku.

Jeden za drugim spuszczaliśmy się do piwnicy, zupełnie ciemnej, sklepionej. Na środku stała maszyna drukarska—pedałówka. Rdza miejscami grubą warstwą pokrywała żelazne części maszyny; tu i owdzie cienkiemi strugami spływała wilgoć. Drewniany blat, na który kładzie się papier do druku, pokryty był pleśnią. Na ziemi, porozrzucane w nieładzie, leżały części drugiej maszyny, tak zwanej „bostonki". Pod ścianą widać było paczki czcionek zupełnie nowych, zapakowanych tak, jak je z fabryki wysłano. Trochę starych czcionek, porozsypywanych i pomieszanych w pudełeczkach. Był to obraz kiepskiej gospodarki majątku, którego nie umiano wyzyskać. Mieć taki kącik, taką maszynę i nie drukować na niej, nie bić organu—to szczyt niedołęstwa! Zwracam się więc do gospodarza, aby mi wytłomaczył, w jaki sposób maszynie tej zagraża niebezpieczeństwo, wsypy, wszak loszek wspaniale ukryty, nawet okienka niema, i gdyby nie wilgoć, to tutaj możnaby okrągły rok drukować, o ileby wynoszenie druków i przynoszenie papieru, czyli tak zwana „technika", były dobrze zorganizowane. Gospodarz odpowiedział, że w czasie ostatniej a niedawnej rewizji żandarmi już byli w komórce pod schodami. Zdawało się, że znajdą loszek; żona jego mało nie zemdlała. Obecnie nie chce drugi raz ryzykować. Cóż—myślę—zostawić maszyny i czcionki tak jak są, nie można, trzeba coś radzić. A wreszcie jestem również stary pepeesowiec i majątkiem ogólno-pepeesowskim obowiązany jestem się zaopiekować. „Dobrze—rzekłem głośno: — Maszynę zabieram, ale warunek, że dacie poświadczenie, iż sami maszynę oddaliści, jak również zawiadomicie tych, co tu zostawili, kto ją zabrał i w jaki sposób". Gospodarz aż poweselał z radości. „Ale zwrócicie mi

to, co oni (lewicowcy) są winni"...—„Zgoda—mówię—a ile się należy?" Obliczył...—przeszło siedmdziesiąt rubli.

Wyszliśmy na górę do piwiarni, gdzie w obecności tow. Zawieruchy wypłaciłem pieniądze, na które otrzymałem kwit i zaświadczenie, że maszynę oddano mi dobrowolnie. Zawierucha ruszył do Strzemieszyc po furmankę, gospodarz zaś pobiegł na facjatę do pewnego towarzysza, ślusarza, „lewicowca", z prośbą, aby był łaskaw poodkręcać ważniejsze części maszyny, w celu łatwiejszego przewiezienia jej.

Pod wieczór zjawił się z furmanką tow. Zawierucha. Po cichu zawiadomił mię, że w pobliżu znajduje się oddziałek bojowy, który nieznacznie będzie eskortował furmankę, a w razie spotkania strażników pogranicznych nie pozwoli na zabranie maszyny, choćby wypadło wystrzelać napastników... Wkrótce maszyna znalazła się na wozie. Nakryto ją workami... Wóz pomału ruszył...

W pewnej odległości zjawiło się nagle dwuch młodych ludzi—pogwizdując, szli przed wozem na kilkadziesiąt kroków. Za chwilę, z tyłu, w odległości 40 kroków, zjawił się również jakiś zasmolony górnik... A tam jeszcze jeden, i jeszcze jeden...—to eskorta bojówki.

Następnego dnia posłałem pewnego towarzysza, zdolnego ślusarza i montera, aby obejrzał, oczyścił maszynę zrdzy i, co potrzeba, dorobił.

W najbliższą po tym wypadku niedzielę zebrali się członkowie Okręgowego Komitetu Robotniczego Zagłębia na posiedzenie w liczbie 16, prócz pięciu funkcjonarjuszy. Na porządku dziennym stanęła kwestja maszyny. Jako zasadnicze punkty, które należało rozstrzygnąć, postawiono pytania: Czy należało zabierać maszynę odrazu? Czy mamy prawo do owej maszyny? I czy tow. tow. Wojtek i Adwokat postąpili dobrze, rozporządzając kapitałem okręgu bez porozumienia się z egzekutywą?

Za pierwszym puktem byli wszyscy przeciw jednemu, który złożył motywację, że należało się zwrócić do C.KR. „lewicy" z zawiadomieniem uprzednio, że niebezpieczeństwo zagraża drukarni i dopiero po niezałatwieniu przez C.KR. „lewicy" maszynę zabrać. Punkt drugi: czy mamy do maszyny prawo? Po przedyskutowaniu, wszyscy, z wyjątkiem dwuch wstrzymujących się od głosowania, orzekli, że mamy prawo do połowy wartości maszyny i inwentarza, jako że jesteśmy również P.P.S. a maszyna była własnością partji już przed rozłamem. Punkt trzeci uchwalono z warunkiem, że na przyszłość, w razie nagłej potrzeby asygnowania pieniędzy, tow. Wojtek zwróci się do 2-ch najmniej członków egzekutywy, aby nikt później do W. nie miał pretensji. Na ostatku zapadła rezolucja dodatkowa, aby po oczyszczeniu i zmontowaniu maszyny, w imieniu Okr. Komitetu dwuch towarzyszy z egzekutywy wraz z tow. Wojtkiem zawiadomili Okr. Kom. „lewicy", że maszyna jest do odebrania, jednak za zwrotem kosztów wykupu, przewozu, reparacji; oraz zwrotem połowy wartości maszyny, prawnie nam, jako P.P.S-com, przypadającej.

Gdyby „lewicowcy" nie byli w możności uiszczenia się, uchwalono zawiadomić ich, że wszelkie nielegalne druki będziemy im drukować po cenie kosztu. Członkowie O. K. R. zobowiązali się zaraz zawiadomić o fakcie i jak sprawy stoją ogół towarzyszy w fabrykach i kopalniach. Tego samego dnia zawiadomienie dla „lewicowców" według uchwały było gotowe, a na drugi dzień rano wysłane.

Zajęliśmy się czyszczeniem i montowaniem maszyny, ale wobec jej rozpaczliwego stanu, zeszło nam 2 tygodnie, zanim można było przystąpić do roboty.

Tymczasem „lewicowcy" narobili piekła. Ukazała się ich odezwa, nazywająca „fraków" „bandytami" i w fałszywy sposób oświetlająca sam fakt, naprzykład twierdziła ona, że bojowcy z bronią w ręku napadli i porwali drukarnię, kiedy, de facto, bojowcy od domu, skąd zabierano, byli najmniej o 150 kroków i ani jeden na chwilę się nawet nie zbliżył.

Po fabrykach i kopalniach zagotowało się wśród robociarzy. Niektórzy „lewicowcy"—ci niezacietrzewieni—pytali się mnie osobiście, jak było naprawdę. Opowiedziałem, wskazując świadków. Na wypadek, poszedłem jeszcze raz do oddawcy, myślałem, że może on co nakłamał. Ale nie! Oświadczył mi tylko, że „lewicowcy" byli u niego, nawymyślali, co się zmieściło, ale on im zwrócił uwagę, że oni są winni, a nie on, bo wszak prosił dawno o zabranie. Spytałem go, czy w razie, gdybym zażądał jego świadectwa jeszcze raz, będzie gotów stwierdzić, jak było? Odpowiedział, że choć sto razy

gotów zaświadczyć, jako sam oddał. Myślę: „co będę sobie głowę zawracał głupstwami, lepiej postaram się jaknajprędzej wydać numer „Górnika". Siadłem więc do pisania artykułów, a jednocześnie przygotowałem rysunek i oddałem do zrobienia winietę tytułową z widoczkiem fabryk i idącym do pracy górnikiem.

Rysunek wogóle towarzyszom się spodobał. Akurat dostałem odpowiedź od towarzysza Sławka z Krakowa, że zecer bardzo zdolny jutro wyjeżdża, aby zająć się pracą w „tajnej drukarni Górnika". Aż tu nagle zjawia się z Warszawy tow. Karol, albo Ryszard. Zaledwie wszedł do mieszkania, jak nie zacznie mi wymyślać: „Co wyście tu znowu nabroili? z bojowcami napadliście drukarnię „lewicowców"! — „Gdzie zaś!—mówię.—Kupiłem..." Widzę, że tow. Karol patrzy na mnie, sądząc, że kpię, więc powtarzam, że kupiłem, na co mam kwit, i świadków. Usiadł tedy i zażądał szczegółowego sprawozdania. Po wysłuchaniu zawiadomił mię, że „lewicowcy" wielkie piekło robią o zrabowanie, jak twierdzą, maszyny; mnie nazywają bandytą i że sprawa będzie oddana do rozpatrzenia międzynarodowej konferencji socjalistycznej.

Na to djabli zaczęli mię brać. Więc mówię do Karola że postąpiłem, jak mi nakazywał rozum i sumienie. Lepiej, że drukarnia jest u nas, jakby miała być w „ochranie". U nas będzie ona pracować dla sprawy robotniczej, będzie narzędziem w walce z caratem i najazdem, u „lewicowców"—rdzewiała w piwnicy bez pożytku. Uważam się za p.p.sowca i, jako taki, mam do niej prawo. Niech mówią, żem bandyta, ja na to gwiżdżę, wziąłem ją nie dla siebie, a dla sprawy, dla walki z tymi, z którymi oni walczyć się lękają. Wreszcie, mówię, zawiadomiłem ich o uchwałach O. K. R., mogą zabrać po zwróceniu kosztów, albo, jeśli chcą, możemy im drukować rzeczy potrzebne. Karol, wysłuchawszy, odsapnął. „No, wiecie, ulżyło mi! Myślałem, żeście naprawdę głupstwo jakie palnęli".—„Ale skąd—mówię—na głupstwa nie mam czasu, a robię zawsze to, z czego uważam będzie dla sprawy interes". Tow. Karol zażądał, aby jeszcze jedno pokwitowanie dostać wraz z oświadczeniem o dobrowolnym wydaniu drukarni przez gospodarza.

Dokumenty te miały być wysłane na międzynarodową konferencję socjalistyczną, jako dowody. Na drugi dzień udałem się do Nowego Będzina. Gospodarz, po wysłuchaniu mię, zgodził się na danie drugiego pokwitowania oraz rodzaju protokułu. Karol, wziąwszy dokumenty, wyjechał zagranicę...

* * *

My tymczasem ulokowaliśmy drukarnię. Mieszkanie, życie i opranie dla 2-ch towarzyszy, stale pracujących, t. j. zecera i pomocnika, kosztowało 40 rb. miesięcznie. Zecer otrzymywał prócz tego 60 rb., a pomocnik 25 rb. miesięcznie. W przeciągu pierwszego miesiąca odbiliśmy 4.000 „Górnika" ośmiostronicowego 2.000 „Dodatku do Górnika" czterostronicowego i 38 tysięcy odezw. Drukarnia nam się sowicie opłaciła, tymbardziej, że odezwy nasze mogły się ukazywać zaraz po faktach dokonanych. Ochrana wściekała się ze złości. Poszukiwali w Sosnowcu, Będzinie i Dąbrowie; nie przyszło im na myśl, że taki interes może funkcjonować na wsi, w chałupie chłopa-górnika! Ma się rozumieć, zachowane były wszelkie środki ostrożności i zorganizowana aż do najmniejszych szczegółów ekspedycja bibuły oraz dowóz papieru przy jaknajmniejszej ilości ludzi. Szczegółów tych dziś nie będę opisywał. Dodam tylko, że zecerom niewolno było cały dzień opuszczać owego „alkierza"; maszyna zaś tak cicho szła, że przy otwartych drzwiach w drugiej stancji nic słychać nie było. Tow. pracujący dopiero, kiedy noc zapadła, wychodzili chyłkiem z chałupy, udawali się w pole w głąb, zdala od drogi, i tam używali kilkugodzinnego spaceru. Rano, skoro świt, już stawało się do pracy. I tylko w czasie braku roboty, a to rzadko się zdarzało, towarzysze zecerzy wyjeżdżali do Sosnowca, gdzie mogli trochę użyć swobody.

Tow. Karol, któremu, jako członkowi Centr. Kom. Rob., obowiązany byłem pokazać miejsce drukarni, nadzwyczaj był zadowolony, przesiedziawszy kilka godzin w tej „kuźni", skąd płynęła „energja" buntu. Posiliwszy się mlekiem i chlebem razowym, poszedł do Ząbkowic na pociąg, mówiąc po drodze: „Carat nam nie da rady, skoro nasza drukarnia pod strzechę wiejską zawitała".

Tak funkcjonowała i pracowała „zrabowana", jak mówili i mówią „lewicowcy", przez Wojtka drukarnia. „Górnik" nasz w owe czasy ogólnej depresji szedł na Łódź, Kielce, Radom, Kraków, Szwajcarję, a nawet do Ameryki. Dziś, podając do

wiadomości publicznej ów fakt, zapytuję się siebie, czy miałem prawo tak postąpić, sumienie mi odpowiada, że „tak", ponieważ świadomość robotników zyskała, robota organizacyjna się wzmogła, a fakt, że tuż pod bokiem żandarmów carskich, tu, gdzie szpicle tropią dzień i noc, pracuje tajna drukarnia „Górnika"—fakt ten osłabiał znaczenie carskich sług, podnosił ducha w proletarjacie. Dziś czasy się zmieniły —inne warunki i inne metody są w użyciu.

Na zakończenie opiszę jeszcze jeden epizod, jaki się przytrafił w naszej drukarence.

W tej samej wsi miał swój dom pewien jegomość, nadzwyczaj zdolny robotnik: cieśla, rzeźbiarz, kowal, zegarmistrz, szewc, jednym słowem zrobił wszystko, na co spojrzał, ale też i pijak zawołany. Pewnego dnia przyszedł on w jakimś interesie do naszego gospodarza, a ponieważ gospodyni wyszła gdzieś z mieszkania, więc zaczął chodzić po domu. Wszedł do izby większej, skąd drzwi prowadziły do naszego „alkierza", wtedy niezupełnie zamknięte. Jegomość ów, sądząc, że tam jest gospodyni, drzwi uchylił—no i zobaczył maszynę stojącą i jakieś szufladki, wkoło pod ścianami ustawione. Coprawda, że w tej chwili się cofnął, ale stało się—obcy człowiek poznał tajemnicę. Towarzysze zecerzy wtedy się spostrzegli, że popełnili błąd, nie zamykając drzwi na klucz, jak było postanowione. Rada w radę, tow. pomocnik udał się do Sosnowca, aby mi zakomunikować, co się stało. Trafił na biuro partyjne, gdzie naradzałem się z okręgowym kolporterem, w jaki sposób zawieźć większy transport papieru.

Wiadomość otrzymana spadła na nas, jak grom z jasnego nieba. Mnie porwała szewcka pasja, dostało się też porządnie posłańcowi niefortunnej wiadomości. Cóż, przepadło —trzeba „ratować pozycję".

Postanowiliśmy z tow. kolporterem nie zawozić narazie papieru, ale najprzód załatwić sprawę z owym jegomością. Sytuacja była taka: albo, postępując wedle zasad konspiracji, maszynę natychmiast wywieźć, albo—jaknajspieszniej świadka tajemnicy zastrzelić. Inaczej pracować pod grozą ciągłej wsypy było niepodobieństwem. Wywieźć maszynę, a więc znów szukać odpowiedniego mieszkania, rozbierać, składać nanowo, ustalać warunki i zwyczaje mieszkania i pracy—to przerwa na

cały miesiąc w wydawnictwach. Zgładzić człowieka za to tylko, że się stał mimowolnym świadkiem z winy niekonspiracyjności chwilowej towarzyszy zecerów—nie można. Zaagitować go do partji—nie masz pewności uratowania sytuacji, bo pijak. Psiakrew—myślę—głupie położenie! A no, chodźmy—rzekłem do kolportera, tow. Kuby. Opatrzyliśmy browningi, zapasowe magazyny w kieszeń i marsz.

Na miejscu zastaliśmy gospodarza—wrócił z pracy nocnej. Od niego zasięgnęliśmy wiadomości, że „mimowolny świadek" nie jest w gruncie rzeczy złym człowiekiem, tylko, kiedy się napije, rozpowiada na prawo i lewo to, co widział i czego nie widział. Poprosiłem tow. gospodarza, aby był łaskaw go zawezwać i żeby kazał żonie i dzieciom opuścić mieszkanie, a sam niech w sieni pilnuje, żeby znów licho kogoś niepotrzebnego nie przyniosło.

Odbyliśmy krótką i ostateczną naradę z tow. Kubą co do akcji, jaka za chwilę miała się odegrać.

Upłynął kwadrans, drzwi się otwierają—wchodzi oczekiwany. Ze zdziwieniem pyta, po co mu tu kazano przyjść, czy może robota jaka? Tak mówię—jest robota, siadajcie. Jednocześnie wyciągamy browningi. Ów spojrzał i zbladł. „Czego wy chcecie odemnie?"—pyta. „Nic—mówię—uspokójcie się, porozmawiamy". Oświadczam mu, że jesteśmy przysłani w imieniu Okręg. Komitetu Robotniczego Zagłębia Polskiej Partji Socjalistycznej. Że do wiadomości O. K. R. dziś doszło, że on poznał tajemnicę, co za drzwiami, prowadzącemi do alkierza, się znajduje, że to jest „tajna drukarnia". Że każdy obcy, który pozna tę tajemnicę, dla bezpieczeństwa naszej organizacji musi być zabity. Wobec tego, O.K.R. wydelegował nas do załatwienia tej sprawy. Co macie do powiedzenia w tej sprawie?—pytam. Facet zaczął się trząść po moim oświadczeniu i tłomaczyć, że będzie milczał, że on nikogo jeszcze nie zdradził, że choć nie jest P.P.S-owcem i nigdzie wogóle nie należy, jednak jest wrogiem carskich sług i ochrany. Cóż—mówię—ogromnie mi żal, że się tak złożyło, ale cóż zrobić,—ja i towarzysz musimy wypełnić rozkaz O.K.R. Wtym Kuba zaczyna manipulować z browningiem, to wkładając magazyn, to badając bezpiecznik... Zapadło ciężkie milczenie... Wreszcie zabrałem głos. „Słuchajcie—mó-

wię, zwracając się do niefortunnego świadka tajemnicy—życie i milczenie wasze biorę na siebie. Mieliśmy rozkaz was zabić, jednak zrobimy próbę. Musicie nam przysiądz, że będziecie milczeć, coście tam widzieli, że zapomnicie o tym i że przestaniecie od tej chwili używać wszelkich trunków, nie wyłączając i piwa". Facet z radością, ma się rozumieć, składa przysięgę, podnosząc dwa palce do góry i zwracając się w stronę krzyża, stojącego na oknie. Wtedy mu oświadczyłem, że pomimo złożenia przysięgi, nasi towarzysze bojowcy będą go mieli na oku dzień i noc. Najmniejsza chęć zdrady grozi mu śmiercią, zaś dom jego zostanie wysadzony bombą w powietrze. Uprzytomniłem mu, że P. P. S. jest wszędzie obecną wszędzie ma swych członków i ludzi zaufanych. Po roku czasu, kiedy maszynę stąd zabierzemy, zwalniamy go z przysięgi. Dziękując nam, przyrzekł jeszcze raz solennie tajemnicy co do drukarni i obietnicy przestania pić dochować. Po wyjściu jego pytam tow. Kuby: „No cóż wy na to?" „Załatwiliśmy, jak można było najlepiej —odrzekł Kuba.—W każdym razie trzeba mieszkania szukać, a tymczasem jedźmy po papier, trzeba będzie z powodu tej przerwy dziś całą noc pracować". „Niech żyje ośmiogodzinny dzień roboczy!—zawołałem, „ale nie przy partyjnej robocie".

W rok czasu spotkałem się z moim robociarzem w więzieniu. Ja odbywałem katorgę—chodziło się w kajdanach, on szedł na wysyłkę do wołogodzkiej gubernji. Poznał mię odrazu, a znalazłszy wolną chwilę, zjawił się do mnie; jak mówił przyszedł mi podziękować, bo od tej pory przestał pić, wziął się do agitacji i „dziś"—mówił—„nie jestem gorszy od innych: idę na wysyłkę, idę cierpieć za naszą sprawę".

Jak świętowaliśmy w Ostrowcu w 1903 r.

Było to przepiękne, niedzielne popołudnie 1 Maja 1903 r. Na twarzach mieszkańców miejscowości, okalających Wielkie Zakłady Ostrowieckie, cukrownię częstocicką i kilka innych fabryk, malowało się nadzwyczajne podniecenie i radość. Zdawało się, iż rano tej niedzieli stał się cud i rząd carski wraz z całym swym aparatem znikł z powierzchni ziemi, że fabryki, te wampiry, wysysające siły robotnika, istnieć przestały, a lud wolny obchodzi święto swego wyzwolenia.

Wrażenie to potęgował jeszcze brak dymu i hałasu, jaki wydawały wielkie piece, idące bez przerwy dniem i nocą. Dnia tego i one spokorniały i ucichły, mając do swej obsługi pozostawionych tylko kilku ludzi, aby nie zastygły. Sczezło też dnia tego i pokryło się po norach wszelkie plugastwo policyjne i żandarmskie, od którego roiło się wończas we wszelkich środowiskach fabrycznych—przerażone próbną demonstracją ranną, obficie przeplataną strzałami wiwatowymi. W znacznej większości mieszkań robotniczych obiadu nie gotowano, gdyż ogólna atmosfera podniecająca udzieliła się wszystkim, i kto mógł jako tako poruszać nogami, był na ulicy, przystrojony w czerwoną kokardę. Nawet chorzy z fabrycznego szpitala wyszli, by własnymi oczyma ujrzeć to, o czym marzyli, a ponad tym całym rozentuzjazmowanym tłumem pysznił się na najwyższym kominie fabrycznym umocowany ogromny czerwony sztandar, na którym można było wyczytać litery P. P. S. Tak, bowiem Komitet Ostrowiecki P. P. S. po okresie pracy podziemnej postanowił odbyć publiczny przegląd swych sił i wpływów i przez urządzenie generalnej popołudniowej manifestacji wykazać siłę i stopień uświadomienia robotników. Jakoż rezultat tych zamierzeń przeszedł wszelkie oczekiwania Komitetu. Już o g. 3 pp. gromady zaczęły ściągać

na punkt zborny, którym był olbrzymi cmentarz przykościelny, a leżący na najwyższym szczycie góry, na której rozsiadło się miasteczko Ostrowiec i z którego rozciągał się widok na odległe miejscowości, skąd spodziewane było przybycie miejscowych Komitetów P. P. S.

Około godziny 5 pp. zdaleka na polach zamajaczyła jakaś ogromna, ruchliwa masa, z której co chwila wykwitały białe obłoczki, a po niejakim czasie słychać było huk wystrzałów. Rozległy się więc wśród ostrowieckiej braci radosne okrzyki: „idą! idą!"... i nie pozostali oni dłużnymi w tym rycerskim powitaniu: zaczęli tak hukać z rewolwerów, flowerów, pojedynek, że aż szyby w pobliskiej plebanji brzęczały. Szczególniej hałaśliwie zachowywał się pewien stary, pamiętający czasy Kościuszki, pistolet, który nabijał się coprawda z piętnaście minut, ale jak łupnął, to wszystkie rewolwery, będące w rozporządzeniu Komitetu, zgłupiały. Postanowiono wreszcie nie czekać, jeno wyjść na spotkanie towarzyszy. Sformował się więc pochód i dwunastkami, ze sztandarem, ruszyli, gęsto na wiwat po drodze strzelając. Po dojściu do odległego o trzy wiorsty cmentarza grzebalnego odbyło się spotkanie. Bez przesady można powiedzieć, że nastąpiły wtenczas wybuchy dziecięcej, szalonej radości: śmiano się, krzyczano, całowano. Okazało się, iż przybyły organizacje trzech Komitetów ze swymi sztandarami. Jednakże zaledwie zdołano sprawić jaki taki szyk, gdy nagle ze stodoły, stojącej po drugiej stronie drogi, wypadł biegiem oddział piechoty, konsystującej w mieście. Oficer, biegnący na przedzie, wyrwał szablę z pochwy i przeciąwszy drogę, prowadzącą do miasta (piechota z nastawionymi do strzału karabinami), zaczął krzyczeć: „żenszczyny uchaditie, a fłagi dawaj zdies', a to strielat' budiem!" W pierwszym momencie wszczął się popłoch, ale wnet rozległa się komenda: „sztandary i kobiety do środka, kto z bronią—formować czworobok!" Jakoż tylko kilkunastu długo ubranych obywateli przesadziło sąsiedni cmentarny mur i znikło poza nagrobkami. Demonstranci jednakże w lot opanowali sytuację i w niespełna minutę sztandary, kobiety i bezbronni towarzysze otoczeni byli murem mężów, zbrojnych w różnej wielkości i młodości broń. Chwila była wysoce dramatyczna, cisza panowała śmiertelna. Z jednej strony oficer i 50 żołnierzy z karabinami, wycelowanymi w pierś tłumu,

z drugiej—tłum o twarzach rozognionych i zdeterminowany na wszystko, gorączkowo śledzący poruszenia szabli i ust oficera, ażeby w krytycznym momencie plunąć śmiertelną salwą w obronie tych, których własnemi piersiami zasłaniali. Przeczuł widocznie ten nastrój oficer, bo zaproponował, ażeby mu już sztandarów nie oddawać, lecz je zwinąć i rozejść się, a on daje słowo oficerskie, że nikogo aresztować nie będzie, jednakże nikt się na to zgodzić nie chciał. Wtenczas trzech towarzyszy, machając chustkami od nosa, podeszło do trzęsącego się cokolwiek oficera i zaproponowało mu, ażeby wojsko ściągnął i demonstrację swobodnie przepuścił, gdyż, jak widzi, ludzie są uzbrojeni, a i kilka bomb też się znajdzie. Ten ostatni argument widocznie go przekonał, gdyż wziąwszy „czestnoje" słowo, że strzelać nie będą — zakomenderował: „na ramię broń, zwrot w tył"—co zostało nadzwyczaj sprawnie i szybko wykonane—i dał nura do kazarm, a połączone Komitetu P. P. S. z pieśniami rewolucyjnemi na ustach wkroczyły tryumfalnie do miasta, obrzucane z okien kwiatami i radosnymi okrzykami.

Tak się odbyło pierwsze publiczne zorganizowane wystąpienie ludu roboczego ziemi Radomskiej.

„Czarny Prystaw".

Kiedy po 13-stu latach rzuci się okiem wstecz, kiedy człowiek wspomni przygotowania i walkę 1905 roku, gdy przed oczyma, jako wizje, przemkną sylwetki tych wszystkich carskich satrapów, których zadaniem było zgnieść podziemne organizacje, zgnieść bunt—mimowoli zjawia się pytanie: poco się tak wysilali dygnitarze rządu carskiego—po co z taką bezwzględnością mordowali pojmowanych, poco sami ginęli od bomb czy kul browningowych?... Dziś caratu niemasz... Reakcja rosyjska jako hydra stugłowa, dusząc rewolucję 1905 roku, sama własnemi rękoma przygotowywała dzisiejszy grób dla siebie już wtedy... Przygotowywała zemstę ludu i grunt pod bolszewizm i anarchję.

Ha, zwyczajny porządek rzeczy na świecie... Wszelka reakcja, choć chwilowo zda się jest panią położenia, to jednak jako taka, musi upaść, zostawiając miejsce postępowi—reformom... Tak było dawniej, tak będzie dziś i w przyszłości. —

Zaiste: co złe—to w gruzy się rozleci,
co dobre—wiecznie będzie żyć.

„Czarny Prystaw" to znana w swoim czasie postać w Radomiu.

Początkowo prystaw t. j. naczelnik okręgu policyjnego tworzył z siebie postać typowego czynownika carskiego: głupiego, brutalnego w obejściu z ludźmi, grzecznego tylko tam, gdzie czuć łapówkę, pokornego wobec „naczalstwa".

W początkach wojny rosyjsko-japońskiej „Czarny prystaw" nieraz próbował tropić rewolucję—pochwycić kramołę". Zawsze bez skutku...

Zakonspirowani nieuchwytni rewolucjoniści, jak duchy wszędzie zaznaczali swoją działalność, będąc ciągle dla carskich zbirów niewidzialnymi.

Nieraz spotykało się późno w noc „Czarnego Prystawa" w przebraniu cywilnem, chyłkiem prześlizgującego się ulicami miasta. Od czasu do czasu widząc światełko w szparach okiennic—stawał i słuchał. W duszy jego gorzało pragnienie schwytania owych tajemniczych zasmolonych robotników, na konspiracyjnej naradzie... Wpaść nagle, porwać przed nimi leżące papiery... uwięzić, osadzić w oddzielnych celach... Oddać pod sąd wojenny. A tam — „krest", a tam ordery i awans dla szpicla i kata.

Myśli te niedawały „Czarnemu Prystawowi spokoju, ani w dzień—ni w nocy...

Jesienią 1905 roku, kiedy ruch rewolucyjny rozlał się szeroko po całem państwie cara, w Radomiu, tak jak i w całem Królestwie, wszyscy, więcej inteligientni, więcej rozumiejący robotnicy, stanęli w szeregach tajnej organizacji P.P.S., gdzie nie brak było i młodzieży inteligientnej. Robota wzmagała się coraz potężniej. Gubernator radomski wściekał się ze złości na pułkownika żandarmerji i na policmajstra za ich nieudolność w śledzeniu pepesowskich bojowców. Zamachy na szpiclów i funkcjonarjuszów carskiej policji, próby wysadzenia gmachów rządowych w powietrze, psucie komunikacji kolejowych, to były sensacje dnia powszedniego.

Wreszcie w Petersburgu nie wiadomo przez kogo rozklejone ukazały się odezwy ogłaszające, że w „Priwisliniu wozstanije" a już najbardziej w gubernji Radomskiej.

I oto „najwyżej rozkazano wysłać do Radomia, Ostrowca i Starachowic, oddziały wojskowe—złożone z osławionych „wołyńców i kozaków—karne ekspedycje.

Oddziały te, były upoważnione nie tylko do chwytania rewolucjonistów, ale i do rozstrzeliwania ich na miejscu. Takiemu rozstrzelaniu bez sądu mieli podledz w Ostrowcu tow. inżynier Berner i wielu towarzyszy-robotników.

Ratowali się oni ucieczką tego samego wieczoru, kiedy karna ekspedycja towarowym, dla nieposzlaki, pociągiem zbliżała się do Ostrowca.

Jużci „Czarny prystaw", będąc w dni „wolnościowe" naczelnikiem powiatu w Kozienicach, na pierwszą wiadomość, że że ma być ruch rewolucyjny w Radomskim bezwzględnie i jaknajprędzej zdławiony, poprosił o przeniesienie go do Radomia w celu „usmirenija rewolucji".

Ma się rozumieć, pozwolenie otrzymuje i wraz z blizką mu niewiastą zjeżdża na „plac boju". Od tego dnia widać było na ulicach Radomia „Czarnego Prystawa" ze swoją niewiastą w otoczeniu oddziałku spieszonych kozaków, myszkującego na prawo i lewo. Lecz zaledwie „Czarny" kozakami udał się w górę ulicy Lubelskiej, a już w dole koło Bernardynów, ktoś lepi odezwy.

Kozacy ustawiali się szpalerami na chodnikach i rewidowali przechodni, wrzeszcząc co chwila: „ruki w wierch".

Prawda, że największy pociąg owi obrońcy carskiego porządku mieli do carskich srebrnych rubli znajdujących się w kieszeniach rewidowanej publiczności.

Próżne wysiłki rewolucjonistów schwycić nie mogli... A tu jak na złość dają znać: tam jacyś zabili w biały dzień na ulicy strażnika; pod magistrat rzucono bombę; to znów usiłowano gmach pocztowy wysadzić w powietrze; pewnej nocy zburzono jedną ze ścian w gmachu powiatowym, pomimo, że budynek obstawiony był wojskiem.

Proklamacjami zasypane nietylko miasto, ale i wsie o kilkanaście nawet mil od miasta leżące... Tajna drukarnia funkcjonowała w one czasy dzień i noc. Dwie zmiany towarzyszy pracowały bez wytchnienia. Zecer towarz. K. ledwie nadążał składać...

Gubernator rozkazał zrewidować całe miasto dom za domem, każdziutkie mieszkanie...

Więc pewnego zimowego dnia, rankiem o 6-ej, zjawiają się w całem mieście silne oddziały piechoty, żandarmerji, kozakkw i policji.

Przechodnie na ulicy zaskoczeni rewizją, musieli na deszczu i błocie bez pożywienia stać na miejscu, aż do wieczora, to jest do ukończenia rewizji. Gubernator był pewny, że nareszcie wykryje rewolucję. Jednak i ta próba zawiodła. Skład główny broni i bomb znajdował się w piwnicy pewnego

handlu. Szukającym na myśl nie przyszło, aby tak solidny sklep mógł pomagać rewolucjonistom. Co się zaś tyczy tajnej drukarni, to ta była urządzona w bardzo przyzwoitym domu, gdzie mieszkało kilku wyższych urzędników sądu okręgowego.

Pokoik odnajmowano od pewnego bogatego żyda, jako przedsiębiorcy, znanego w sferach rządowych. Odnajmujący nie wiedział w jakim celu wynajęty został pokoik—wtajemniczony był stróż—członek organizacji tajnej P.P.S.

To też zaraz po rewizji-obławie ukazały się nowe proklamacje—prawie jednocześnie w całem mieście. Ludność miasta z zadowoleniem patrzała na wściekającą się ze złości policję, głośno kpiąc z jej niedołęstwa. Wielu mieszkańców, nie będąc partyjnymi starali się na złość carskim zbirom dopomódz towarzyszom w onem zmaganiu się z potężnym a nie mogącym dać sobie rady wrogiem.

„Czarny Prystaw" nie ustawał jednak w pracy. Coraz energiczniej, coraz bezwzględniej czynił poszukiwania.

Jako pomocników zorganizował sobie złodziei i rabusiów, a czyniąc z nimi zebrania uczył jak mają śledzić rewolucjonistów, jak działać, próbując wywoływać pogromy przeciw żydom w dni targowe.

Na czele tej organizacji stanął niejaki Kwieciński, już ra okłuty sztyletem za szpiclostwo.

Komitet Radomski P.P.S. posłał dla zbadania jednego z członków bojówki. Delegowany towarzysz w charakterze niby ich człowieka, dostał się na zebranie onej szajki i zdał bardzo ciekawą relację z przygotowań „prystawa" i Kwiecińskiego, wobec czego ten ostatni z rozkazu Komitetu Robotniczego P. P. S. został zabity na ulicy tuż pod bokiem dwóch patroli wojskowych. Wreszcie postanowiono dokonać zamachu i na samego kierownika represji „Czarnego Prystawa".

Rozkaz Komitetu Robotniczego wręczono towarzyszowi Włostkowiczowi, kierownikowi piątki t. j. oddziału bojowego, zalecając możliwy pośpiech.

Zamach miał być dokonany przy pomocy browningów dnia następnego, w chwili kiedy „Czarny Prystaw" odbywał ulicą Lubelską, zwykły swój popołudniowy spacer.

W bramie domu Grodzickiego ukryło się trzech ludzi z oddziału—dwóch stanowiło ochronę na ulicy. Prystaw się

zbliża... Za chwilę padną strzały... W tem strażnik stojący na posterunku, może wiedziony instynktem, podszedł do Prystawa, zawracając go z drogi: „potomu czto tut'—nie ładno". Pristaw momentalnie zawrócił... Towarzysze bojowcy nie czekając, aż się strażnik lepiej zorjentuje—znikli.

Wieczorem tego dnia strażnik ów dostał trzy kule—padł na miejscu.

Prystaw wzmocnił jeszcze więcej swoją działalność terozyzując mieszkańców Radomia. Ze wszystkich stron dochodziły wieści o katowaniach i znęcaniu się nad aresztowanymi. W Starachowicach na stacji krew bryzgała na ściany i sufit wagonu, w którym prowadzono zeznania. Więzienia przepełniały się ludźmi o twarzach zamienionych w maski skutkiem bicia i poranień.

Po wsiach tu i owdzie chłopi na własną rękę tłukli Moskali, mszcząc się za zajęte zamiast podatków, bydło.

W Iłżeckim—kowal, towarzysz Jakławicz, dobrał sobie garść zuchów i napadał nawet na większe oddziałki dragonów i kozaków. W lasach Świętokrzyskich co raz to trupy strażników znajdowano.

Pod Jastrzębiem wysadzono most kolejowy—nadchodzący pociąg spadł do strumienia—dwie lokomotywy i kilka wagonów zostały rozbite. W Radomiu rzucono bombę na żandarmów bez skutku jednak.

Kozactwo hulało coraz brutalniej. Opinja publiczna zaczęła się domagać kary na carskich siepaczy.

Polecono oddziałkom bojowym działać bez przerwy. W stosunku do „Prystawa" postanowiono zamachu dokonać za wszelką cenę, używając nie browningów, jak początkowo postanowiono, ale bomby, o dużej sile wybuchowej.

Było to w pierwszych dniach stycznia 1906 r., dzień czwartkowy, dzień targu tygodniowego w Radomiu.

Od rana przybywały furmanki ze wszystkich stron do miasta. Kilka tygodni z rzędu prawie nie było targu—to z powodu represji, to znów z powodu strajków powszechnych. To też jaki taki spieszył ze sprzedażą produktów rolnych, bądź też po zakupy rzeczy niezbędnych. W dniu tym wywiadowcy oddziałku bojowego pilnie strzegli zjawienia się „Prystawa" na ulicy, bowiem od jakiegoś czasu nie ukazywał się w dzień

tylko w nocy w przebraniu, otoczony silnym konwojem kozaków dokonywał po mieszkaniach śpiących mieszkańców rewizji i aresztowań...

Tego dnia wyszedł. Nasi towarzysze wywiadowcy wnet go spostrzegli, kiedy ze swoją znajomą niewiastą z hotelu europejskiego szedł do gmachu powiatowego. Momentalnie jeden dał znać kierownikowi sekcji tow. „Korsakowi" (Włastkowiczowi). Plan był gotów — pocisk przyszykowany leżał w mieszkaniu tow. szewców na drugim piętrze, w kamienicy na rogu Lubelskiej i Spornej. Zamach miał być dokonany na Lubelskiej, z bramy domu pana Trzebińskiego. Odwrót zapewniono sobie przez ogrody tegoż domu, aż na ulicę Długą. Na wypadek pościgu albo starcia bramę po rzuceniu pocisku miało się zamknąć na klucz.

W bramie, skąd miał być pocisk rzucony, stanęło dwóch towarzyszy. Kierownikiem akcji był tow. Korsak, który miał rzucić pocisk, do pomocy zaś w razie nieprzewidzianych wypadków miał tow. Guzińskiego i trzech innych towarzyszy, obowiązanych było z chwilą zjawienia się powracającego do hotelu prystawa, a głównie w chwili zbliżania się jego do miejsca zamachu ostrzedz i zmusić publiczność, dość tłumnie w owych godzinach na ulicy znajdującą się do rejterady przed wybuchem.

Dodać jeszcze trzeba, że na tej samej ulicy o kilka domów dalej, w hotelu Sandomierskim, stał oddział kozaków, tak zwane „Pogotowie"; zaś drugi większy oddział zajmował po drugiej stronie ulicy hotel Rzymski. Zamachu więc kuszono się dokonać prawie w oczach wart kozackich, stojących na ulicy, jak również posterunków policyjnych.

Około godziny 12 w południe ukazał się „Czarny Prystaw" na Lubelskiej, zdążając w stronę hotelu Europejskiego. Szedł wolno, zatrzymując się co chwila przed niektórymi sklepowymi wystawami. Przed nim w pewnym oddaleniu postępował złożony z kilku kozaków oddziałek, z tyłu za nim drugi. Oddziałki te—to „ochrana" „Czarnego Prystawa", czuwająca nad jego bezpieczeństwem dzień i noc.

„Prystaw" mija hotel Sandomierski... Stojący przed hotelem kozacy prężą się salutując—ani przypuszczają, że to ostatni raz—że tuż przed tym wszechwładnym dotąd panem życia i śmierci stoi śmierć... Czai się i wciska w pocisk znaj-

dujący się w rękach bladego ze wzruszenia, ale nieubłaganego bojowca.

Tuż koło bramy, skąd ma być rzucony pocisk, a skąd dobrze widać zbliżającego się „prystawa", był sklep optyczny Soczka. W krytycznej chwili koło wystawy przystanęła jakaś żydówka. Dwóch z oddziałku towarzyszy półgłosem, ale stanowczo nakazują publiczności przechodzącej uciekać. — Słychać słowa: „będzie bomba — uciekajcie". — Do stojącej przed wystawą żydówki podbiega Korsak wołając: „uciekaj— rzucą zaraz bombę." Zydówka wytrzeszcza nań oczy i z lekceważeniem odpowiada: „nu, po co mam iść, niech rzucą, ja się nie boję!"

Zirytowany Korsak nie może upartej kobiety wziąć za kark i odrzucić dalej, ponieważ w ręce trzyma puszkę—pocisk elegancko zawinięty.

„Czarny Prystaw" już się zbliża...

W tym, w bramie, gdzie stoją nasi towarzysze z pociskiem, zjawia się jakiś jegomość i chce wybiedz na ulicę. Korsak wolną ręką łapie go pod gardło i cofa z powrotem na schody... Z tyłu słychać głos Guzińskiego — „gotowe". Zostawia więc jegomościa w osłupieniu, dobiega do wyjścia z bramy i spostrzega wolno idącego „Czarnego Prystawa" pod rękę z niewiastą... Jedno mgnienie oka i — okropny huk rozdarł powietrze... Chodnik jakby zadygotał... Część publiczności w niewielkim oddaleniu leży ogłuszona wybuchem, niektórzy przysiedli ze strachu w różnych pozach... Z okien lecą resztki wygniecionych z ram okiennych rozfalowanym powietrzem i gazami szyb...

Chwilowa martwota czy zdrętwienie opanowały wszystkich na ulicy... W tem, tu i owdzie podrywają się jednostki i przerażone pędzą przed siebie na oślep...

Coraz ich więcej... Słychać komendę, a w chwilkę — krótka salwa karabinowa—jedna—druga—trzecia.

Kozacy z pod hotelu Sandomierskiego oprzytomnieli i rozpoczynają ostrzeliwanie ulicy...

Przed zrujnowaną wystawą sklepu Toczka leżą trzy postacie. Żydówka, co się bomby nie bała nieżywa z olbrzymiemi ranami na całem ciele. „Czarny Prystaw" bez obydwóch nóg w kałuży krwi własnej daje słabe oznaki życia. Piersi ma całe—ratowała go koszulka druciana, jaką z oba-

wy przed zamachem nosił na sobie. Obok niego leżała niewiasta, z którą szedł pod rękę.

Wykonawcy znikli jak sen...

Długo po mieście krążyły wersje: że jacyś ludzie skądś przyjechali, że ostrzegano przed wybuchem pocisku publiczność.

„Czarny Prystaw" żył jeszcze trzy dni, jego towarzyszka zginęła, umierając zapisał jej swój kapitał w kwocie 8000 rb.

Widocznie nagły i okropny wybuch oddziałał tak na prystawa, że nawet nie zorjentował się, kto więcej prócz niego zginął.

Jeden z towarzyszy, zajmujących się ostrzeganiem publiczności na ulicy po wybuchu z browningiem w ręku wpadł do bramy, gdzie stali kozacy, tak oszołomieni wybuchem, że nawet nie zauważyli w rękach towarzysza broni. Ma się rozumieć towarzysz, nie czekając aż się zorjentują, zmiarkowawszy gdzie jest, wyniósł się coprędzej z onej kompanji.

Po zamachu wśród władz zapanowało pewne przygnębienie; mieszkańców zostawiono na jakiś czas w spokoju, zaprzestano nawet chwilowo masowych rewizji i aresztowań.

Wspomnienia z katorgi Smoleńskiej.

Przybyłem do Smoleńska w dniu 17 maja 1911 roku. Odrazu na wstępie zawiadomiono mnie, że obowiązany jestem odpowiadać na powitanie władzy więziennej: „zdrawija żełaju" i t. d., następnie śpiewać modlitwy w rosyjskim języku: rano, przed obiadem, po obiedzie i wieczorem. Dano mi do przeczytania ustawę dla więźniów, obowiązującą, jak się powinni zachowywać. Gdy zwróciłem uwagę nadzorcy na pewien punkt ustawy, który głosił, że: „choćby więzień uważał naznaczoną przez dozorcę robotę za szkodliwą dla zdrowia, lub wykonanie jej za bezcelowe, obowiązany jest najprzód wykonać pracę, a później zwrócić się do naczelnika z zażaleniem",—odpowiedział mi: „małczat', bradiaga". Więzienie smoleńskie—był to w one czasy istny dom warjatów. Każdy, czy to z pomocników, czy nadzorców, rządził po swojemu, odwołując lub zmieniając dowolnie rozkazy poprzednio przez innego z nich wydane. Przekleństwa najbrutalniejsze na każdym kroku; popychania, wymyślania i przyczepiania się często bez powodu, byle gnębić, a karcery—zawsze przepełnione.

Nareszcie w połowie jedenastego roku rozeszła się pogłoska, że ma przyjechać nowy naczelnik—„usmirytiel" z Kowna—Orłow. Rzeczywiście, po kilku tygodniach zjawił się on i na wstępie ogłosił, że dla pokornych i oddanych mu będzie ojcem, zaś dla opornych—„sobakoj". Wkrótce też rozpoczęły się chłosty. Życie nadzwyczaj marne. Chleb po 2½ f. dziennie, z mąki, mieszanej z plewą i słomą, niewypieczony, przeważnie kwaśny. Obiad „zupa—szczi" z kapusty, nawpół przemieszanej z liśćmi z białych buraków, rzadziutka, nieomal sama woda. Mięsa prawie że się nie widzi, gdyż czego nie ukradł strażnik dozorujący, to ukradli kryminalni katorżnicy, dyżurujący i pomagający w kuchni. Zamiast mięsa, dostawca

przywoził: lekkie, 2 lub 3 głowy i kilka nóg, ogółem wagi 6 pud. i kilka funt. na 600 zgórą ludzi. Kolacji żadnej, prócz wody gotowanej na herbatę, podobnież jak i rano. Jednym słowem, życie obliczone na to, aby organizm, stale i systematycznie ogładzany, stopniowo zanikał. I widziałem własnymi oczyma, jak towarzysze, niemający znikąd pomocy materjalnej, słabli, zanikali i umierali. Tak więc wobec warunków więziennych i sposobu odżywiania więźniów nie można się było spodziewać, aby więźniowie, mający po 12 lat i więcej, mogli wyjść z więzienia na wolność. Katorga rosyjska — to mogiły, w których żywi i dzielni ludzie umierali powolną śmiercią. Ale wróćmy do rzeczy.

Otóż do kiepskiego odżywiania się, złego i brutalnego obchodzenia z więźniami politycznymi dołączyć trzeba i robactwo, które, jak plaga egipska, opanowało całe więzienie. Pomimo, że co 2 tygodnie chodziliśmy do łaźni, pomimo zmiany bielizny, wszy, duże, jak dobre ziarno pszenicy, wprost zjadały nas żywcem. Ani prośby do administracji, by na to zwrócono uwagę, ani wyławianie owadów trzy razy dziennie: rano, w obiad i wieczorem nic nie pomagało. I dopiero, kiedy owady rzuciły się na administrację, kiedy nadzorcy nie mogli sobie dać rady na korytarzach, po długich, bo zgórą rok trwających naradach kupiono maszynę, a właściwie piec do dezynfekcji odzieży.

Lżej żyło się krótkoterminowym, gdyż wypuszczani byli na podwórze do różnych robót i mogli użyć trochę powietrza, zaś „wieczniacy"—ci ciągle znajdowali się w celach, zakuci na ręce i nogi, z wyjątkiem tych tylko, których od kajdan ręcznych lub nożnych oswobadzał na pewien czas doktór. Ostrożności w trzymaniu ich w zamknięciu posunięto do tego stopnia, że drzwi od celi uchylić można było tylko tyle, aby więzień zaledwie bokiem zdołał się przecisnąć. Urządzone bowiem były za drzwiami żelaza, które nie pozwalały, by drzwi szerzej otworzyć. Za najmniejsze uchybienie, przewidziane w regulaminie więziennym—karcer i chłosta. Karcery nowe, opalane, z posłaniem z desek, czyli pryczą, ale ciasne i duszne; po 30-tu dniach odsiadywania większość skazanych zabierano wprost do szpitala więziennego. Najgorzej administracja odnosiła się do więźniów, przysłanych z innych „centrałów" na „isprawlenije". I tak tow. Krambach, przybyły ze

Szliselburga, gdzie mu dołożono za zamach na doktora więziennego 6 lat katorgi w Smoleńsku, na samym wstępie odsiedział z przerwą 3-dniową 60 dni karceru za to, że nie chciał odpowiadać na „pozdrawlenije naczalstwa“ według regulaminu. Tow. Safonow, literat, często bardzo odsiadywał „jedinoczkę“ na „karcernym położeniju“ za to, że zwracał uwagę nadzorcy, aby brutalnie nie odzywał się do więźniów. To były jednostki co protestowały. Ogół zaś zżył się z represjami, poddał się regulaminowi i nie reagował, poniekąd i dlatego, że we wszystkich celach trzy czwarte ilości więźniów stanowili kryminalni, oddani zupełnie administracji, a prześladujący tak zwaną politykę. I pomimo wielkiej pracy ze strony polityków w kierunku uświadomienia ich i umoralnienia, rezultaty były nadzwyczaj nikłe.

Chęć najmniejszego protestu, projekt tylko zorganizowania czegoś dostawał się w tej chwili przez usłużnych zauszników do kancelarji, w rezultacie—cała masa represji spadała na winnych i niewinnych. Były wypadki, że ktoś dla przekonania się, żartując, mówił o proteście, a za pół godziny gromada nadzorców wpadała do celi i rozpoczynały się rewizje, badania; zwykle ten, co proponował, szedł do karceru. Jednym słowem, dzięki specjalnej metodzie naczelnika, prowokacja rozwinięta była na szeroką skalę. Przysłowie, że „ściany mają uszy“, było tu faktem. Zdarzyło się, że tow. w celi między sobą półgłosem rozmawiali o ucieczce, przygotowywanej w innym więzieniu. Wkrótce wzywają ich do kancelarji i po badaniu odsyłają do karcu. Przytoczę tu następujący wypadek. Za murem więziennym kilku więźniów rżnie drzewo na opał. Niebo pochmurne—zbierało się na deszcz, mgła dosyć gęsta zaczęła pokrywać okolicę. O sto kroków od miejsca pracy krzaki gęste, ciągną się aż do lasu. Strażnicy stoją razem i gawędzą. Wtym jeden z więźniów nieznacznie odsunął się w stronę krzaków, jeszcze chwila, i już, już się skryje. Naraz jeden ze strażników, obserwując nieznacznie więźnia, zmierza z karabinu i kładzie go trupem. W rezultacie otrzymuje od Orłowa 25 rb. „nagrody“, a w mowie wygłoszonej do nadzorców, naczelnik jasno zaznacza, że za każdego zabitego, a usiłującego uciec więźnia będzie płacił po 25 rubli.

A teraz słów kilka o warsztatach więziennych, czyli tak zwanych „majsterskich“. Nie będę czytelników trudził ani statystyką, ani szczegółowym opisywaniem tego, co się tam działo, gdyż zabardzo to wszystko boli. Dążeniem administracji było, ażeby wszyscy więźniowie bez wyjątku pracowali i dlatego wybudowano warsztaty stolarskie na 400 ludzi. Prócz tego były: kuźnia, gisernia, introligatornia, pracownie dla krawców, szewców, młyn i cały szereg drobnych, a dających wspaniałe dochody zajęć i robót.

Robót, coprawda, nie wyznaczali, ale wszystko urządzone było tak, że kto się lenił—głodem musiał przymierać. Zapłatę za pracę wykonaną rachowano w ten sposób, że od każdego czystego rubla za daną pracę więzień dostawał tylko 10%, t. j. 10 kop. Naprzykład stolarz zrobił stół, za który kantor więzienia otrzymał 10 rb. Otóż pomocnik Woznow, zarządzający owymi warsztatami liczył za materjał rb. 7 lub 8, znaczy się czystego pozostało rb. 2, a więc więzień otrzymywał 10%, czyli 20 kop., z których to pieniędzy w końcu miesiąca miał prawo zrobić „wypiskę“, czyli kupić coś do zjedzenia, za 10 kop. a drugie 10 odkładało się na tak zwany „żelazny kapitał“, wypłacany po wyjściu z więzienia na wolność. Tak rachując, pomocnik Woznow okradał więźniów okropnie i nikt mu nic zrobić nie mógł.

Oddani na pastwę tego szubrawca, musieliśmy bezsilni milczeć, a próbowany kilka razy opór w formie „zażalenia“ do inspektora Snitkina, pomimo, że on obiecał rozpatrzenie sprawy i zadośćuczynienie, po wyjściu jego z gmachu więziennego był tłumiony z całą bezwzględnością i surowością: plagi, karcer i kajdany — to były rezultaty zażaleń. On, Woznow, Bóg i Pan życia i śmierci robotników, odwoływał i zmieniał rozporządzenia inspektora; on, szubrawiec i złodziej, z krwi i potu mordowanych i ogładzanych więźniów nosił na wszystkich palcach pełno pierścieni, gromadził w kasie pieniądze. Kilka lat daremnie staraliśmy się pozbyć tego łotra, a rzucić się na niego i zamordować brakło nam odwagi—tak wszelką energję i życie w nas tłumiono. Był jeszcze inny szubrawiec—pomocnik Ałmazow, który mordował więźniów w ten sposób, że zmieniał co chwila swoje rozporządzenia. Dopiero co powiedział więźniowi: zrób tę robotę tak, lecz nie zdążył wię-

Porwanie Towarzyszki w Kielcach.

W 1907 r. na jesieni aresztowane zostały w Kielcach towarzyszki: Nawrot (Bronisława), Śledziówna (Helena), Tkaczówna i Korflówna. Przyczyną aresztowania—prowokacja.

U tow. Bronisławy znaleziono skład broni Organizacji Bojowej P.P.S.: mauzery, browningi, pieczątki skonfiskowane w gminach, materjały wybuchowe i wiele innych rzeczy.

Żandarmerja ogromnie była ucieszona owym połowem, od dłuższego bowiem czasu popełniono cały szereg zamachów w mieście i okolicy, a jakoś na ślad organizacji natrafić nie mogli. Nareszcie schwytali skład broni i kilka niewiast. Bojówka przestanie istnieć—rewolucja stłumiona. Po kilku dniach badania, wszystkie towarzyszki, z wyjątkiem tow. Bronisławy, puszczono; Bronisławie wytoczono proces o przechowywanie tajnego składu broni, co groziło minimum 15-ma latami katorgi.

Bojówka jednak nie została rozbita w Kieleckim; już w trzy dni po aresztowaniu tow. Bronisławy wykonano w okolicy zamach. Żandarmi wściekali się ze złości. Przy badaniach cała ich nienawiść spadała na tow. Bronisławę, która ciągle i kategorycznie odmawiała jakichkolwiek wyjaśnień w sprawie znalezionego u niej składu broni, mówiąc: „Macie mnie, więc sądźcie, nic więcej nie powiem". Organizacja nasza postanowiła za wszelką cenę wyrwać z rąk carskich zbirów Bronisławę, ale sprawa była dość trudna, bo budynek więzienny nieprzystępny, a przytym wewnątrz zawsze znajdował się silny oddział żołnierzy. Postanowiono użyć podstępu i w tym celu tow. Helena zaskarżyła do sądu siedzącą w więzieniu tow. Bronisławę o... niezapłacenie jej należności za zrobiony kostjum. Sprawa wlokła się dosyć długo, aż nareszcie miał się odbyć sąd, na który, jak prawo przewiduje, oskarżona musiała się stawić osobiście. Drogą konspiracyjną zawiadomiono tow. Bronisławę o przygotowującej się akcji, o tym, że będzie musiała iść do sądu i że tam nasi towarzysze uśpią chloroformem pilnujących ją żołnierzy, ułatwiając jej ucieczkę. Nie wspominano wcale o jakiejś ostrzejszej akcji, bowiem obawiano się, że tow. Bronisława może odrzucić propozycję, nie chcąc dopuścić do krwi rozlewu i możliwego nieudania się zamachu.

Rzeczywiście, towarzysze nasi narażali się na bardzo wielkie niebezpieczeństwo. Chcieli dokonać napadu w lokalu sądu, w dzielnicy miasta nieomal wojskowej. Lokal sądu znajdował się przy placu bazarowym. Plac—czworokątny; od strony zachodniej stała kamienica, w której mieścił się sąd. Cokolwiek dalej na prawo, w narożnej kamienicy, był urząd powiatowy, a więc policja i żandarmerja. Naprzeciw lokalu sądu, po drugiej stronie placu, mieścił się cyrkuł policyjny, a trochę dalej, na prawo od cyrkułu, długie budynki—koszary wojskowe, na ulicy zaś, biegnącej od cerkwi do placu—zarząd żandarmerji. Plac sam był miejscem, gdzie stały prawie cały dzień gromadki rozmawiających żołnierzy.

Plan akcji opracowano już oddawna, czekano tylko na dzień rozprawy sądowej.

Nareszcie w 1908 roku, wczesną wiosną, zawiadomiono tow. Helenę, że za kilka dni odbędzie się sąd. Towarzysze odbyli ostateczną naradę, podzielili między siebie rolę i poczynili ostateczne przygotowania. W akcji miało brać udział tylko czterech towarzyszy: Gibalski (pseud. Franek), Józef Kobiałka (pseud. Walek), Bronisław Gorgól (pseud. Sokół) i towarzysz Partyka Jan. Główne role przypadły tow. tow. Frankowi i Walkowi, którzy we dwóch mieli odbić towarzyszkę na schodach, prowadzących do sądu wewnątrz gmachu. Sokół miał stać na straży w bramie domu, w którym był sąd, a tow. Partyka z petardą dość silną, powinien był krążyć w blizkości placu, aby w razie niebezpieczeństwa, uczynić wybuch i w ten sposób ściągnąć policję czy wojsko na miejsce wybuchu, odciągając uwagę od kamienicy, gdzie był sąd...

Piękny, wiosenny, słoneczny i ciepły poranek. Na placu bazarowym coraz więcej widać grupek żołnierzy, wzajemnie częstujących się machorką. Schodzą się gosposie że wszystkich stron miasta po zakupy. Przed powiaten jeden, drugi

stupajka-strażnik z lubością wciąga w siebie świeże powietrze, korzystając z czasu, że „właści" dopiero się odziewają więc godzinkę można jeszcze popróżnować...

Do kancelarji więziennej zawezwano towarz. Bronisławę i oznajmiono, żeby się przygotowała—za chwilę przyjdzie konwój, który odprowadzi ją do sądu. Obwinioną jest: o niezapłacenie należności krawcowej za zrobione ubranie.

W chwilę potym Bronisława gotowa jest do drogi. Do kancelarji wchodzi pięciu żołnierzy: czterech z karabinami, jeden—starszy—z rewolwerem i przy szabli. Towarzyszka zwraca się do naczelnika więzienia z zapytaniem: „Czy to *aż* pięciu żołnierzy uzbrojonych ma eskortować jedną niewiastę?" Naczelnik trochę się zawstydził, jjednak na usprawiedliwienie mówi: „Pani jest ważnym przestępcą politycznym, należy pani do ścisłej bojowej organizacji, więc nie mogę bez silnego konwoju pani stąd puścić". „Dobrze, panie naczelniku"—mówi Bronisława—„ale przecież jestem kobietą i do tego bezbronną; jakżeż to będzie wyglądać na ulicy, panowie na wstyd narażacie się w ten sposób". W rezultacie zawstydzony naczelnik 2-ch żołnierzy cofnął. Brama więzienia otworzyła się i Bronisława w towarzystwie 3-ch żołnierzy udała się na sprawę.

Na ulicy, dziś zwanej Trzeciego Maja, na skręcie do cerkwi, spostrzegła stojącego i obojętnie przypatrującego się jej tow. Walka, który, puściwszy na kilkanaście kroków przed siebie konwój z Bronisławą, wolno, tak jakby od niechcenia, zaczął za nimi postępować. Na placu bazarowym, niedaleko sądu, stał z rękami w kieszeniach, gapiąc się na słońce, tow. Sokół. Na przechodzący konwój nie raczył nawet rzucić okiem. W tej chwili wszedł do bramy gmachu sądu tow. Franek, uprzedzając eskortę.

Żołnierze zbliżali się do celu, nie spiesząc sie. Skręcili do bramy, a za nimi tuż wszedł tow. Walek. Sokoła przestało zajmować słońce, momentalnie znalazł się przy bramie, którą usiłował zamknąć. W tym zjawia się kilku żydów, śpieszących do sądu; widząc, że jakiś człowiek chce im bramę zamknąć, podnoszą gwałt: „No, co to jest? Czego tu bramy zamykać?" Rozpoczyna się tarmoszenie; wreszcie zniecierpliwiony Sokół, nie chcąc zwracać hałasem uwagi na siebie, wpuścił ich do bramy. W tej chwili na schodach, wiodących do sądu, rozległy się szybko po sobie następujące dwa strzały, a za

chwilę istna kanonada. Słychać strzały karabinowe głośne i słabsze, krótkie a szybkie z browningów. Sokół bramę zatrzasnął—żydzi ze strachu schowali się do ustępu...

Przejdźmy jednak do rozgrywającego się na górze dramatu.

Jak wyżej powiedziałem, tow. Franek wszedł do sądu wcześniej od konwoju. Szybkim krokiem wbiegł na drugie piętro, gdzie mieścił się sąd, do którego drzwi były jeszcze zamknięte, wyjął browning, spuścił bezpiecznik, sprawdził magazyn w browningu, drugi naszykował w kieszeni.

W tej chwili konwój wszedł z bramy na schody. Na przedzie jeden żołnierz z karabinem, później Bronisława, a z tyłu 2-ch następnych żołnierzy—jeden z karabinem, drugi z rewolwerem i szablą u boku. Za nimi, jak gdyby również do sądu, szedł Walek, trzymając w rękawie ukrytą broń. Gdy orszak skręcił z pierwszego piętra na drugie, Franek zaczął schodzić naprzeciw niemu. Chwila—i padły odrazu dwa krótkie rewolwerowe strzały. Jeden dał Franek do żołnierza, idącego na przedzie, i trafił go w piersi, drugi strzał padł z browninga Walka, którym trafiony został w kark starszy konwoju, ten, co był z rewolwerem. Obydwaj ranni żołnierze rzucili się naprzód na górę, trzeci zaś schwycił Bronisławę wpół i podniósł ją za pierwszymi dwoma.

Towarzysze nasi rozpoczęli strzelać z bronków do żołnierzy, starając się jednak, aby Bronisławy nie zranić, która znajdowała się jak gdyby w pośrodku strzałów. Żołnierze, choć ranni, strzelali z karabinów na chybiłtrafił.

W tym Walek rzuca się naprzód, rani strzałem w rękę żołnierza, przytrzymującego oszołomioną Bronisławę, chwyta ją za rękę i silnym szarpnięciem pociąga za sobą schodami na dół, ku wyjściu.

Franek w dalszym ciągu z dołu wali z bronka do żołnierzy. Wreszcie, wystrzelawszy drugi magazyn, pędem zbiega na dół. W bramie Sokół otwiera furtkę i razem we czworo, z bronią na wierzchu, wybiegają na ulicę, gdzie dopiero orjentują się i chowają broń. W podwórzu, przed bramą, zostawili gromadkę bladych, wystraszonych, trzęsących się żydów...

Strzały słychać było i na ulicy, ale że był dzień jasny, więc nie bardzo przechodnie zwracali uwagę. Czwórka towarzyszy zbliżyła się do dorożki, stojącej na rogu. Ku swemu

zmartwieniu spostrzegają, że dorożka należy do znanego szpicla-dorożkarza i że ten we własnej osobie siedzi na koźle. Wyboru jednak nie było—wsiedli, rozkazując mu prędzej zawrócić. Dorożkarzowi się jednak nie spieszyło. „Mam czas", popowiada, a tu każda chwila droga.

Nareszcie ruszyli. Na skręcie z placu bazarowego ku cerkwi zobaczyli naczelnika powiatu, stojącego z 2-ma żandarmami, widocznie dającego jakieś polecenia, bo obydwaj fijoły stali wyciągnięci, jak struny. Dorożka koło cerkwi skręciła na lewo, w ulicę Wesołą—towarzysze polecili dorożkarzowi jechać w stronę Karczówki.

Dopiero w dorożce tow. Bronisława przyszła do przytomności i odrazu zaczęła spazmatycznie płakać, czyniąc towarzyszom wyrzuty, że tak bezwzględnie postąpili z żołnierzami, że gdyby była wiedziała, że sobą narazi żołnierzy na śmierć, nigdy nie zgodziłaby się na całą akcję. Towarzysze jak mogli uspakajali ją, tłomacząc, że innego wyjścia nie było. Ale wróćmy na miejsce wypadku.

W chwilę po odjeździe dorożki z towarzyszami wybiegli na ulicę dwaj żołnierze. Jeden, ciężej ranny, padł na chodnik, drugi z krzykiem pobiegł w stronę koszar wojskowych. To zwróciło uwagę naczelnika powiatu i żandarmów; pospieszyl więc do rannego żołnierza, który w krótkich słowach opowiedział, co zaszło. Momentalnie zaalarmowano powiat, policję i żandarmerję. W kilka sekund ruszyły 2 dorożki, przepełnione strażnikami i żandarmami. Ślad był zbyt świeży, bo ulice zwykle puste, przejeżdżająca dorożka musiała przez swój stukot zwrócić uwagę przechodniów. Nie wiedząc, o co chodzi, ludzie dawali wskazówki. Dorożki pognały we wskazanym kierunku.

* * *

Tymczasem nasi towarzysze najspokojniej w świecie, nie spodziewając się w tej chwili pościgu, zmierzali ulicą koło ogrodu w stronę Karczówki.

Dojechawszy do plantu kolejowego, zauważyli, że szlaban jest opuszczony—spodziewano się pociągu, którego odgłos już słychać było. Pogoni towarzysze nie widzieli, ponieważ ulica, biegnąca koło ogrodu, kilka razy się załamuje; instynkt jednak mówił, że nie należy tracić ani chwili. Nie na-

myślając się wiele, Sokół podbiegł do szlabanu, podniósł go i dorożka ruszyła—tuż zbliżał się towarowy pociąg. Przejechawszy plant kolejowy, tow. Walek i Franek wraz z Bronisławą wyskoczyli z dorożki i skręcili w ulicę Młynarską, w stronę tartaku Nowaka, zaś Sokół rozkazał jaknajspieszniej zawieźć się dorożkarzowi na Karczówkę.

Tylko co ruszono z miejsca, z drugiej strony plantu kolejowego podjeżdżały dorożki z policją. Na szczęście, pociąg był bardzo długi, a ponieważ zbliżał się do stacji, więc maszynista zwalniał coraz więcej. Pociąg zasłonił trójkę naszą przed oczami ścigających, dając jej czas wejść pomiędzy budowle. Po przejściu pociągu, dowiedziawszy się od dróżnika, że dopiero co dorożka przejechała tędy, pościg pognał na Karczówkę. Sokół jednak spostrzegł w drodze za sobą dwie dorożki i to go zaniepokoiło, więc przynaglał dorożkarza. U stóp góry klasztornej, wyskakując, zapłacił i spiesznie skierował się przez las do Białogona. Policja złapała, ale — dorożkarza, który pomimo to, że był szpiclem i że mimowolnie stał się narzędziem w rękach tych, na których polował, przesiedział 3 miesiące w kozie.

Tymczasem nasza trójka spokojnie maszerowała w stronę wsi Niewachlów, gdzie zatrzymano się dla wypoczynku u towarzysza Andrzeja Derlika, prosząc, aby zaraz zakładał konie i odwiózł uciekających do Skarżyska. Tow. Derlik zgodził się, aby zaś nie naprowadzić na ślad, pojechał sam z pustym wozem przez miasto. (Innego przejazdu, chcąc się dostać na szosę, prowadzącą do Skarżyska, nie było).

Towarzysze udali się z Niewachlowa bocznemi drogami i wyszli na szosę dopiero wiorst sześć po za miastem. Tam już czekał towarzysz z wozem.

Do Skarżyska dojechali na godzinę 3-cią po południu, gdzie zatrzymano się u towarzysza Ruteckiego, pseud Mamerta. Tam towarzyszka Bronisława odpoczęła kilkanaście dni, a później wyjechała zagranicę...

Policja ze spuszczonemi nosami i próżnemi rekoma wróciła do miasta. Tu dopiero rozpoczęto nagankę na spokojnych mieszkańców: rewizje, obławy rozpoczęto w całym mieście; zmobilizowano telefonicznie wszystką żandarmerję na kolejach, wszystko—bezskutecznie...

Około 4-ej po południu zawezwał gubernator do siebie rządzącą miastem starszyznę i zagroził im wylaniem z posad, jeżeli natychmiast nie odnajdą uciekinierów. Wymyślając, sam p. gubernator był w strachu przed straceniem posady bo sprawa towarzyszki była zbyt ważną.

Wreszcie starszyzna, zaczęła radzić, jakby wybrnąć z kłopotu, jakiego im narobili nasi towarzysze. Po długich debatach postanowiono wysłać konne patrole na wszystkie szosy i boczne drogi i zaalarmować załogi w innych miastach. Rezultaty, jak wiemy, były żadne. Do Skarżyska przybył patrol dragonów, ale dopiero o 9-ej wieczorem... Jeden z rannych żołnierzy zmarł, dwaj inni wyzdrowieli. Aresztowano zaraz dorożkarza, dróżnika za to, że pozwolił szlaban podnieść, i pewnego kolejarza, który widział uciekających. Na drugi dzień aresztowano towarzyszkę Śledziównę (Helenę) za współudział. Osądzono ją na 15 lat katorgi.

W całej tej akcji był jeden błąd, że towarzyszka Helena nie przygotowała się również do wyjazdu; zdawało jej się, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi, i postanowiła jeszcze w Kielcach pozostać jakiś czas.

Z dawnych dni.

Pracował w fabryce ciężko na kawałek chleba, tak jak i jego ojciec—był robotnikiem... Czego chciał—gdzie dążył?... Szukał prawdy... Kto go pchnął na drogę walki i — śmierci? Krzywda! Młody był, jednak czuł, że ojcu jego źle było zawsze na świecie, a jemu nie lepiej, lecz codzień gorzej się powodzi. Słyszał w niedzielę z kościelnej kazalnicy, że tak być musi, bo to sam Pan Bóg tak świat stworzył... A no — wątpił... Nie chciał wierzyć, aby Pan Bóg był niesprawiedliwy... Ha, cóż, przy stwarzaniu świata nie był, więc nie mógł sprawdzić... Czuł, że na świecie jest zło, które należy zastąpić lepszym jutrem... Cóż—czasy podłe... Ulicą nie przejdź, bo kolby, nahajki świszczą w powietrzu... Tu i tam trup—to codzienna praca carskich siepaczy... Zetknął się z socjalistami i wstąpił do bojówki—przeznaczono go do piątki Henryka Barona...

Chodził na wszystkie „roboty"—a wiele ich było, bardzo wiele. W „krwawą środę" pracował bez wytchnienia—pracował uczciwie, gdzie tylko go posłano. Wolny od pracy codziennej czas (pracował w fabryce Konrada i Jarnuszkiewicza) poświęcał na „robotę" oną—ciężką a konieczną.

Pierwszego listopad 1907 roku, rano o 10-ej, spotkał się z wrogiem na rogu ulicy Krochmalnej i Towarowej. Ich było pięciu—on jeden. Oni z karabinami—wiadomo, carscy słudzy, on jedną ręką trzymał parasol, a drugą w kieszeni odsuwał bezpiecznik na bronku"...

Stoj! ruki w wierch!... Towarzysz Stanisław Sadowski momentalnie wyciągnął broń i w odpowiedzi śle strzały jeden po drugim. Rani rewirowego w ucho, ten pada ze strachu. Sam szybkim krokiem cofa się w Krochmalną, za nim agenci ochrany i patrol żołnierzy. Za chwilę jeden ze szpicli, ugodzony ku-

lą, pada obok parkanu № 75. Sadowski wbiega do domu № 73, dążąc w drugie podwórze — za nim pędzi, strzelając, strażnik... Chybia ciągle... Stach już ze schodów drugiej poprzecznej oficyny odwraca się nagle i na progu sieni kładzie celnym strzałem stójkowego. Żołnierze uciekają w popłochu na ulicę.

Wkrótce telefony pracują... We wszystkich cyrkułach alarm, w koszarach pułku wołyńskiego, jak przed bitwą, warczą bębny. Zdąża pomoc z koszar: bataljon wołyńców, jedna kompanja pułku grochowskiego, ze wszystkich cyrkułów komisarze, rewirowi, z ochrany—szpicle...

Wszystko to pędzi, szykuje broń, pała zemstą przeciwko komu? Przeciwko jednemu robotnikowi, któremu krzywda społeczna kazała iść tą drogą—drogą walki i śmierci... Tow. Sadowski wbiega na trzecie piętro, otwiera drzwi do mieszkania tow. Wicka, który, zainteresowany wystrzałami, chciał wyjść i zobaczyć, co się dzieje. Sadowski, zapytany przez Wicka: Co to jest?"—odpowiada flegmatycznie: „No, nic wielkiego, zabiłem rewirowego, stójkowego i szpicla. Ale ja stąd wychodzę, bo spodziewam się, że zaraz i tu wpadną, a nie chcę was, towarzyszu, niepotrzebnie narażać".

Na schodach gromadka podnieconych wypadkiem kobiet radzi spiesznie po cichu, by młodzieńca przebrać w kobiece odzienie i, póki mniej wojska, wyprowadzić. Wicek proponuje mu, aby się przebrał, a broń można ukryć. Sadowski odrzuca stanowczo projekt przebrania i ucieczki, zaś na propozycję schowania broni odpowiada: „Pepeesowiec z bojówki oddaje broń tylko z życiem"... Wychodzi z mieszkania Wicka, rzuciwszy na pożegnanie: „Dziś mój dzień! bądź zdrów, towarzyszu!"... Zaległa cisza na chwilę, moment niepewności, oczekiwanie czegoś, co już się zbliża, jako nieubłagane fatum...

Na Krochmalnej zebrano przeszło bataljon wołyńców, z tyłu posesji № 73, na Grzybowskiej—kompanja pułku grochowskiego. Rozpoczyna się planowa akcja. Ba! do bramy domu № 73 wejść niepodobna, gdyż tow. Sadowski, zająwszy stanowisko w oknie klatki schodowej drugiej, poprzecznej oficyny, w oknie, znajdującym się wprost bramy frontowej i pierwszej poprzecznej oficyny,—rani każdego, kto się ośmiela wysunąć w głąb bram i podwórza. Żołnierz-wołyniec, Worobjew, zachęcony słowami tchórzliwego naczalstwa, dopada już drugiej bramy i tu dostaje śmiertelny strzał w brzuch. Naczalstwo wściekłe... Po przez sklep rzeźnika i jego mieszkanie dostają się żołnierze na pierwsze podwórko, a stąd przez klatkę schodową pierwszej poprzecznej oficyny wpadają do mieszkań, których okna wychodzą na drugie podwórko, a więc i drugą poprzeczną oficynę, gdzie się broni nasz towarzysz. Na dany znak, z ulicy, przez bramę i z okien mieszkań wszystkich trzech pięter pierwszej oficyny, oraz od ulicy Grzybowskiej rozpoczęto niemilknącą kanonadę, trwającą przeszło 2 godziny. Dowodzący oficerowie i komisarze w raportach zaznaczyli, że dano przeszło dwa tysiące strzałów. Tymczasem Sadowski, odrzuciwszy projekty mieszkańców, chcących mu ułatwić pomimo oblężenia ucieczkę, przebiega z mieszkania do mieszkania, strzelając przez okna do kryjących się w mieszkaniach przeciwległej oficyny żołnierzy. Strzelał dlatego z okien różnych mieszkań, aby, jak mówił, nie uczynić kogoś specjalnie odpowiedzialnym za współudział. Ładunków jednak ubywa, bowiem wszystkiego zaledwie miał przy sobie 60 sztuk.

Schodzi z trzeciego piętra na pierwsze i z okna, oszczędzając ładunków, wali do każdego z żołnierzy czy policji, któryby się odważył pokazać w bramie.

Kilka razy żołnierze starali się masą całą wpaść na drugie podwórko, ale zawsze cofali się, unosząc rannych. Na podwórku — kurz z opadającego tynku, świst kul, hałas salw i krzyki przerażonych mieszkańców czyniły piekło nie do opisania... Walka dla niego beznadziejna trwa—pozostało już tylko kilka nabojów... Co robić?... Koniec życia, a więc i walk życiowych tuż... Hej, carskie zbiry! żywcem mnie nie weźmiecie!—słychać gromki okrzyk. Sadowski wydobywa papiery legitymacyjne i drze je w drobne strzępki... Myślą pożegnawszy się ze wszystkim, co było mu drogim na ziemi, lufę browninga skierowywa we własne czoło... Walka, zdenerwowanie, wyczerpały siły—ręka zadrżała... kula przeszła po wierzchu głowy... Cóż to... żyje jeszcze... słyszy salwy karabinowe... W ostatnim postanowieniu szybko daje do siebie dwa strzały — jeden pod szczękę z prawej strony, a drugi w skroń... Martwe ciało osunęło się na schody... Uwolnił się od prześladowców... A salwy jedna za drugą grzmią... To salwy honorowe... już nad trupem...

Strzelanina trwała jeszcze z pół godziny. Nie słysząc odpowiedzi, przez dachy sąsiednich oficyn, popychając przed sobą żyda administratora domu № 73, żołnierze-wołyńcy wpadli na schody, gdzie leżały zastygłe zwłoki. Odezwała się świstawka dowodzącego oficera, zatrzeszczały bębny na ulicy i ćma moskali z najeżonymi bagnetami rzuciła się z ulicy w podwórze. Z okrzykiem „hura!" zapełnili schody, gdzie leżał martwy towarzysz.

Aresztowano wszystkich mężczyzn — razem do 180 osób. Wyprowadzono ich na ulicę Krochmalną, ustawiając w dwa szeregi.

Podjechały wozy strażackie... Zabierają zabitych i rannych żołnierzy oraz popostrzelanych i pobitych ciężko kolbami przez nich mieszkańców; bowiem po „opanowaniu" fortecy zaczęło się znęcanie nad bezbronnymi a mimowolnymi świadkami walki, mieszkańcami oficyny.

Wieczorem o 6-ej zjawił się czyściciel miejski z wozem, na który wciągnięto zwłoki towarzysza, odwożąc je do prosektorjum na ulicę Teodora, dokąd nasi towarzysze jednej z następnych nocy poprosili fotografa z zakładu p. Miecznikowskiego w celu dokonania zdjęcia fotograficznego poległego towarzysza, znajdującego się w trumnie.

Tak w 20-ym roku życia zginął, walcząc o lepsze jutro dla tych, pośród których przyszedł na świat i pośród których wzrastał, patrząc na ich ciężką walkę życiową.

Aresztowanie.

W 1907 roku wysłany zostałem do Łodzi w celu zreformowania tamtejszej organizacji pepesowej. Nie chcę opisywać zebrań, jakie odbyłem, i wrażeń z nich odniesionych, nie będę pisał o owym momencie, kiedy to—w czasie zebrania kasjerów dzielnicowych przy ulicy Średniej 71 — wpadła do mieszkania horda carskich żandarmów z wydobytymi rewolwerami i żołnierzy z karabinami, gotowymi do strzału. Okrzyk: „stoj! ruki w wierch"! oszołomił nas na chwilę. Zebranie było dość liczne, a obecni towarzysze i towarzyszki w większośc swojej byli najczynniejszymi członkami Łódzkiej organizacji. Nazwiska ich są: Nowakowski, aktor. pseud. (Szydor;) Wasilewski, ślusarz; Czapliński, rzeźbiarz; Hudyński, pseud. (Blady,) kelner; Karbownicki, kelner, właściciel mieszkania gdzie odbywano Zebranie; Sowińska; Skiba, lat 17; Balceszak, malarz; Dobrzyński, rewident kolei Łódzkiej; Ostrowizc, stolarz, pseud. (Ambasador;) Klempiński, inteligent, pseud. Zenon, jeden z głównych kierowników bojówki w owe czasy, oraz piszący pod przezwiskiem Jankowski (Wojtek). Wsypa nasza zakończyła się dla wszystkich bez wyjątku katorgą od 4-ch lat aż do wiecznej czyli dożywotnej.

Chcę jednak towarzyszom-czytelnikom skreślić kilka danych o naszym pochodzie do cyrkułu i owej pierwszej nocy, spędzonej za kratą, nocy, która miała być pierwszą z kilku tysięcy następnych.

* *
*

Ustawieni przez żandarma w bramie domu, w którym nas aresztowano, parami, otoczeni kilkunastoma żołnierzami piechoty, wyszliśmy na ulicę, gdzie dołączyło się jeszcze czterech konnych dragonów z karabinami, przygotowanymi do strzału. Zajęli oni miejsca po dwuch z tyłu i z przodu na-

szego orszaku. Nas w środku 12 osób: dwie kobiety oraz dziesięciu mężczyzn, w czym trzech nielegalników: Klępiński (Zenon), Ostrowicz (Wacław) i piszący te słowa. Cóż, myślałem, głupie położenie pozwolić się opanować. Trzeba natychmiast szukać rady, jak wyjść z tego głupiego położenia.

Na ulicy, co kilka kroków, spotykaliśmy wojskowo-policyjne patrole, albo grupy, złożone z rewirowego i stójkowych lub żandarmów. Wszyscy oni przystawali i spoglądali na nas z widocznym zadowoleniem. Z ich twarzy i spojrzeń wyczuwało się, że pragnęliby nas dostać w swoje ręce, by na naszych głowach, twarzach i plecach wypróbować siłę swoich pięści oraz wytrzymałość kolb rewolwerowych.

Spotykający nasz orszak przechodnie, zmiarkowawszy się, wpadali do bram i sklepów, choć to był dzień świąteczny i godzina dziesiąta przed południem. Niektórzy z nich odwracali głowy, aby przez rzucenie na nas spojrzenia nie zwrócić na siebie uwagi żołnierzy i żandarmów, nas otaczających, i nie zostać przez to aresztowanymi. Dorożkarze i wszelkiego rodzaju woźnice, ujrzawszy nasz pochód zdaleka, wjeżdżali wystraszeni w boczne ulice, unikając kolbowań, a często i poranień, co było w tych czasach w Łodzi na porządku dziennym...

Lecz oto cyrkuł...

Kamienica kilkupiętrowa, przed nią, na ulicy, stoją poustawiane barjery, zagradzając chodnik i kawałek bruku ulicznego, by się nikt zbliżyć nie mógł tak do okien biura, znajdującego się na dole cyrkułu, jak i do szyldwacha, stojącego na warcie. W bramie stało kilkunastu żołnierzy z karabinami, w głębi podwórza kozacy oprowadzali spienione konie. Jesteśmy wprowadzeni do środka cyrkułu. Pokój pełen publiczności—przeważnie żydzi. Za długim stołem kilku policjantów; obok, pod ścianą, długa ławka, na której kazano nam usiąść. Obecni zwrócili oczy na nas. Wachmistrz-żandarm, który nas aresztował i przyprowadził, z radości zacierał ręce, wykonywując co chwilę zabawne ruchy nogami, tak, jakgdyby zamierzał wobec nas zatańczyć kozaka. Spojrzenia jego oczu, pełne złośliwych błysków. raz po raz przebiegały po nas. Robiło to takie wrażenie, jakgdyby chciał ocenić wartość zdobyczy. Jeden z rewirowych zapytał go, wskazując nas palcem: „Eto czto takoje?" Żandarm pośpieszył z odpowiedzią: „Eto sobranije. Swołoczy sjechalis'—sjezdy dielajut. Wtym wszedł komisarz. Wstać!—ryknięto. Musieliśmy się podnieść. Obejrzał nas od stóp do głów, zmierzył każdego wzrokiem, pytając żandarma, cośmy za jedni, i mruknąwszy: „swołoczy", splunął i wyszedł do swojego gabinetu. Jeden ze znajdujących się z nami strażników odebrał paszporty od nas, pozapisywał imiona, nazwiska i miejsce zamieszkania; to samo zrobił żandarm. Po spisaniu wyprowadzeni zostaliśmy na podwórko, gdzie odłączono dwie towarzyszki, z nami aresztowane, wsadzając je do celi, w której siedziały prostytutki. Nas, mężczyzn, wtłoczono do kozy, czyli niezbyt obszernej, jak na znajdującą się w niej ilość ludzi, stancję, szerokości 8 i długości 8 łokci. Z jednej strony izby, prawie do połowy jej szerokości, zajmowało o sześć cali wznoszące się ponad podłogę podwyższenie z desek, służące w nocy za pryczę do spania. W dzień po niej spacerowano, gdyż na podłodze cementowej, wobec przepełnienia celi, nie było miejsca. Prycza ta była pokryta dość grubą warstwą błota i plwocin. Przy drzwiach, zarośniętych błotem i brudem, stał okropnie cuchnący kubeł z wodą do picia, tuż obok drugi, zupełnie podobny do pierwszego, dla pomyi i nieczystości. Kubły były zzewnątrz i wewnątrz tak podobne do siebie, że łatwo się było pomylić co do ich przeznaczenia. Okno małe, silnie okratowane, umieszczone dość wysoko, niewiele przepuszczało światła. Ściany brudne, mało u dołu różniące się kolorem od podłogi, poobijane i mnóstwem najcyniczniejszych dowcipów i wierszy przybrane, nadawały tej stancji wygląd jaskini zbójeckiej, do czego w wielkim stopniu przyczyniały się znajdujące w niej postacie ludzkie i wygłaszane przez nie zdania i przekleństwa. Oto w pośrodku kręci się jakiś jegomość, lat około 30, ryżawy, o wstrętnej twarzy, zmysłowych ustach, małych, szybko biegających, szarych oczkach. To handlarz żywym towarem. Co chwilę przystaje, nadsłuchując prowadzonych wkoło rozmów. Od czasu do czasu wtrąca się, rzucając cyniczne wyrazy. Tu znów, oparty o piec, stoi posłaniec miejski, rozpoczynający opowiadać już może po raz setny historję swego aresztowania. Przysięga co chwilę na wszystko, że tych „archistów", co mu dali list, aby go odniósł i przyniósł im pieniądze, nie zna i nie znał. Chwilami nikt go nie słucha, lecz on na to nie zważa, ciągnie dalej swoje opowiadanie—widać czuje po-

trzebę wywnętrzenia się przed kimś ze swoim nieszczęściem. Próżno—współczucia nigdzie nie spotyka, tylko szyderstwo. Pod oknem, na przestrzeni trzech kroków, spaceruje, a raczej biega, jakieś nizkie, wychudzone, bose, ledwie okryte łachmanami indywiduum. Twarz, podrapana i brudna, z przylepionymi na skroniach włosami, jakby zmartwiała—nie widać na niej najmniejszego wzruszenia. Na zapytanie, co za jeden i za co siedzi?—odpowiada, że się upił i policja zabrała go z ulicy. W kozie czuje się on, jak w domu. Chwali się, że znają go wszyscy strażnicy, nietylko w Łodzi, ale i w innych gubernjach. Jest to człowiek, żyjący wódką, na zdobycie której uprawia drobne kradzieże, gdyż pracować już dziś nie jest w stanie. Dawniej pracował jako szewc, ale dziś rzemiosła zapomniał, żyje więc z dnia na dzień, nie myśląc o niczym. To — włóczęga. Ogniskiem domowym i odpoczynkiem jest dla niego więzienie, o którym, gdy wspomina, twarz mu się rozjaśnia. „Tam, to są gody"—mówi.—„Tam, to człek się naje, i wyśpi, i robactwo go nie gryzie".

Wkrótce zasnąłem, skulony na wązkiej pryczy...

Leżeć musieliśmy tylko na bok, nawznak — brakowało miejsca. Jeżeli kilku pragnęło odwrócić się na drugą stronę, zmuszeni byli trudzić resztę sąsiadów i dopiero na dany znak odwracać się. O zgięciu się nie było co marzyć, każdy leżał ściśnięty i wyprostowany, jak w prasie. Wreszcie wszystko uspokoiło się. Rozmowy i szepty ścichły—słychać tylko w różnym tempie oddychania śpiących, mniej lub więcej nieprzyjemne, i przeraźliwe chrapania, czasem we śnie rzucane przekleństwa lub cyniczne wyrazy.

Ludzkie postacie, porozrzucane na zabłoconej i cuchnącej podłodze w różnych dziwnych pozach, bez żadnej podściółki, w mrokach kopcącej się lampki jakiś dziki przedstawiały obraz. I pomyśleć tylko, że dzieje się to w cywilizowanej Europie w wieku XX! A jednak rzeczywistość stwierdza, że ludzie przez ludzi są gorzej od zwierząt traktowani... Wszak i psu podściela się jakąś szmatę!... A ci, tu na ziemi, jako strzępy porozrzucani? Prawda, to ludzie upadli... Wśród nich wiele jednostek można i należałoby uratować—z błota moralnego wyciągnąć. Dłoni pomocy jednak nikt nie poda. Spodlenie twoje, człowieku, rozpoczyna się i tu—w kozie... Idź,

utop się w bagnisku nędzy i niemoralności. Świat nie dla ciebie!...

I śpią wydziedziczeni w smrodzie i zaduchu, odpoczywają po dniu bezcelowo spędzonym, by z nowemi siłami zbudzić się do nowych udręczeń i bezcelowości dalszego życia.

Z podwórza dolatuje co chwilę tentent kopyt końskich— to patrole kozackie wyjeżdżają na ulicę lub wracają z objazdu. Naraz za drzwiami słychać zgiełk... szamotanie się... razy... jęki... Drzwi ze szczękiem odejmowanych żelaz i zgrzytem zamków otwierają się i wpada przez nie do środka, uderzony silnie w kark przez strażnika, kopnięty w dolną część krzyża przez kozaka, jakiś młody mężczyzna—brunet, o pociągłej twarzy, z baczkami. Zatoczył się i oparł o ścianę.

Chwilę odpoczywa, wodzi błędnym wzrokiem po śpiących, chce się poruszyć, lecz nogi odmawiają posłuszeństwa. Stoi oparty, wykoszlawiony, chwytając rękoma powietrze, to znów grożąc komuś pięścią. Wreszcie z gardła jego wydziera się głos, podobny do ryku zwierzęcia; rzuca się na drzwi, szarpie, uderza pięściami... Śpiący poczęli jeden po drugim podnosić głowy, przecierać oczy i rzucać obelgi pod adresem nowoprzybyłego, co jeszcze więcej podniecało go. Wreszcie kilku rozsądniejszych, a może doświadczonych co do skutków takiej nocnej awantury, odciągnęło go od drzwi, tłomacząc, by nie narażał więźniów swoim zachowaniem się.

Pijany szarpie się i wymyśla, krzyczy, że nie mają prawa go aresztować, ponieważ jest mechanikiem przy dynamomaszynach miejskiego oświetlenia elektrycznego, to znów twierdzi, że jest agentem tajnej policji.

Dopiero po długich korowodach udało się osobnika uspokoić i ułożyć w kącie. Przebudzeni zaczynają się uspakajać, zasypiają nanowo.

Wtym ze zgrzytem drzwi się znów otwierają i wlatują, jak kule, jedna za drugą dwie postacie ludzkie...

Twarze obrzękłe, prawie sine, zlepione toczącą się z ust pianą i śliną wąsy. Wytarzane w błocie twarze i ubrania czyniły z nich nie ludzi, lecz jakieś piekielne straszydła. Jeden, widać więcej pijany, co chwila przewraca się na śpiących, bełkocze niezrozumiałe wyrazy, drugi staje na środku pomiędzy śpiącymi i na cały głos opowiada przebieg ich

aresztowania. Mówi bez związku o naklejaniu jakiejś proklamacji, o ratowaniu przyjaciela, a wreszcie—widać w nadmiarze rozczulenia—rzuca się pierwszemu na szyję, tamten zaś przewraca się na niezajęty jeszcze kawałek podłogi tuż pod drzwiami—wymiotuje i nurza się twarzą w swoim własnym kale...

Wstrętny, ohydny widok. Dwuch z pośród moich towarzyszy podniosło się, by mu pomóc wstać. Ledwie osobnik został podniesiony, wyrywa się trzymającym go i, zwalany w błocie i własnym kale, depcząc po leżących ciałach ludzkich, pcha się na tapczan pomiędzy naszą grupę, wymachując pięściami nad głowami naszemi.

W tym czasie jego kolega usiłuje wleźć na drzwi, lecz wpada w kubeł z nieczystościami, wywraca go i wylewa całą zawartość, obdarzając bliżej leżących wilgocią i zapachem...

Wszyscy się budzą i podnoszą.

Niektórzy poszkodowani przez wypadek z kubłem, wśród przekleństw, z zaciśniętemi pięściami, z pochylonemi naprzód głowami, jakgdyby szykując się do skoku, podsuwają się do podchmielonych, chcąc im, jak mówili, „zrobić wcieranie", które mogłoby się skończyć dla wystawionych na tego rodzaju masaż złamaniem kilku żeber. Dopiero interwencja naszej grupy złagodziła dość groźną sytuację.

Zwykle policja takiej kuracji nie przeszkadzała, a nawet czasem z zadowoleniem przyglądała się, podniecając zapaśników; i dopiero, kiedy widać, że ofiara kuracji jest ledwie żywa, wchodziła i przy pomocy kolb karabinowych, nahajek i innych tym podobnych narzędzi przywracała porządek.

Jak wyżej powiedziałem, musieliśmy jednym i drugim tłómaczyć, a nawet ustąpić i tak skąpego miejsca na podłodze, by zaprzestali kłótni i ułożyli się spać.

Wraca więc cisza i tylko od czasu do czasu mechanik od elektryczności, walcząc we śnie z jakimś wrogiem, kopie nogą w bok indywiduum, koło niego leżące... Czasami słychać wydzierające się łkanie z piersi jednego z przybyłych na ostatku. Może we śnie dojrzał żonę i dzieci, a może stanęły przed nim jakieś jaśniejsze obrazy z życia jego, kiedy to nie upijał się jeszcze, kiedy był człowiekiem?... A może jego duch dobry

karcił go za zło, jakie uczynił swej duszy i ciału?... Chwila spokoju... Napróżno... Drzwi znów się otwierają... Powietrze chłodne, przepojone wilgocią, wionęło do celi. Wchodzi kilku nawpół nagich żydów w wieku lat od 8 do 14-stu, za nimi—siwy starzec, także żyd.

Całe ubranie każdego z przybyłych składało się z koszuli brudnej, kalesonów i podartego hałata. Chłopcy byli boso, jeden tylko starzec miał na nogach prawie już zużyte trzewiki. Na twarzach chłopców odbijał się strach, nieomal przerażenie; i tylko starzec, poważny, skupiony w sobie, postacią swoją dodawał im otuchy. Twarz jego spokojna, a nawet jakby uśmiechnięta, biała broda spadała na niezakryte koszulą piersi, spokojnie, choć przenikliwe spojrzenie—wszystko razem nadawało mu podobieństwo patrjarchy, pocieszającego lud swój w niewoli. Byli to piekarze... Aresztowano ich pod zarzutem przeprowadzenia strejku w piekarniach żydowskich. Ten starzec z temi dziećmi mieli przez zastosowanie teroru wypędzać pracujących z piekarń. Starzec, pokazując razy i sińce, objaśnił nam, że w tej chwili przyprowadzono ich z biura śledczego, gdzie przez kilka dni poddawani byli badaniu przy pomocy bicia w plecy i po całem ciele. Pomimo katuszy, nie powiedzieli nic, gdyż nic nie wiedzieli, i w nocy prawie nagich odesłano ich z powrotem do cyrkułu. Stali więc bezradni, nie wiedząc, gdzie się ruszyć, może z obawy nowych udręczeń. Mowa i postać starca zrobiły jednak pewne wrażenie wśród bywalców kozy. Pomału zaczęli się jeszcze więcej ścieśniać, robiąc na zalanej podłodze starcowi i chłopcom miejsce.

I oto ci ludzie upadli, brutalni, ci, którzy niedawno na pięści walczyli o miejsce na podłodze, wobec powagi i przeniesionych przez starca cierpień zmiękli, okazali współczucie, dzieląc się z nim miejscem, i tak już dla każdego skąpem. Chłopcy i starzec pokładli się na zabłoconej i zalanej podłodze jeden około drugiego, kładli się pełni jakiejś rezygnacji czy nadziei, i tylko zauważyć się dało, że wargi starca długo się poruszały. Może z przeziębienia febra nim trzęsła, a może w sercu płakał, a może modlił się.

I znów cisza nastała, przerywana chrapaniem śpiących... Noc dobiega kresu... Poprzez okienko widać szary świt... Skończą się nareszcie przykre sny, czy mary, czy widziadła... Świta coraz więcej—dzień się robi...

I dla iluż to ludzi dzień ten przyniesie nowe męki, nowe boleści?... Wchodzi rewirowy, wzywając naszą grupę do przygotowania się w drogę...

Przeprowadzą nas do więzienia przy ulicy Targowej... *)

Pisane w więzieniu Sieradzkim w roku 1908.

*) Jeden z aresztowanych Towarzysz Karbownicki zmarł w katordze w Mokotowie.